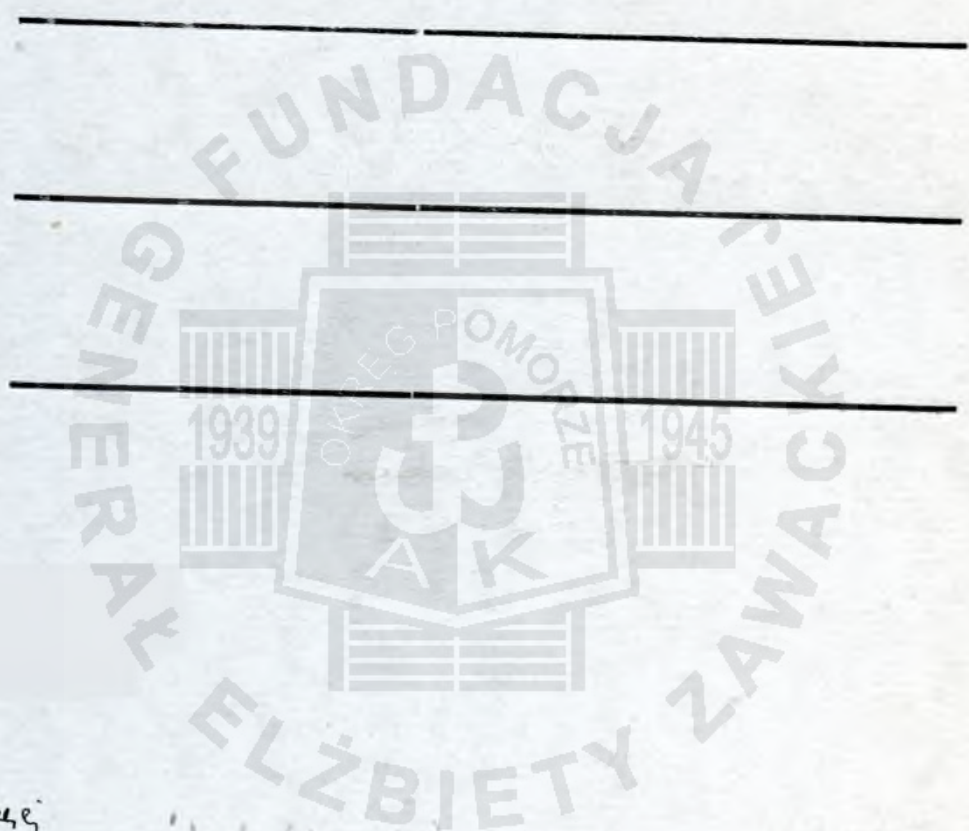


K. Min. VI 199 - opracow. zastępcze (bez wypisów)



adres:  
J - nowo

Nowy adres  
Dom Opieki Społecznej  
04-305 Warszawa

foto (brak)

DRE  
na kraj

AK  
IV-wo

**BOGALSKA** *Amelia*

*11v° Rosnowska  
zd. Rutkiewicz  
ps. „Ama”*

1798/MSK



Spis zawartości teczki - BOGAŁSKA Amelia .....

.....  
..... T. 1798/WSK

I/1. Relacja ✓ k. 7, s. 1-7

I/2. Materiały dokumentujące walkę relatorki o niepodległość ✓ k. 5, s. 1-5  
i stanowiące uzupełnienie relacji

I/3. Materiały uzupełniające relację, inne niż w punkcie I/2 ✓ k. 37, s. 1-37

II. Materiały dotyczące osoby relatorki  
i jej działalności nie związanej z walką o niepodległość

III. Inne materiały ✓ k. 1, s. 1

1 - dotyczące rodziny relatorki ✓ k. 6, s. 1-6

2 - dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) k. 1, s. 1

3 - nie związane z okresem II wojny światowej

IV. Korespondencja bieżąca ✓

V. Nazwiskowe karty informacyjne —

VI. Fotografie ✓ oryginał i ksero

I/1.

## RELACJA

- Relacja w g druku : Służba wojenna kobiet w latach 1939-1947  
mups (oryg.) 1999, k. 2, s. 1-2
- Relacja, Warszawa 2003, mups, oryg., k. 5, s. 3-7





Wpłynęło 11 VI 1999

Łdz. : 1264/WSK/99

1/1

SŁUŻBA WOJENNA KOBIET W LATACH 1939 - 1947 .

II

Amelia Rutkiewicz od 1940r. Bogalska od 1944r Rosnowska  
ps. "AMA"

I ur. 10 kwietnia 1912r w Petersburgu

ojciec Witalis matka Anna z d. Zukowska

adres: Warszawa ul. Potocka 33m 27. tel, 83341 02

Wykształcenie niepełne wyższe . WKN 1950r.

II Nauczycielka. 1933r - bezpłatna "praktyka" w Warszawie. Prywatna Szkoła Heleny Chełmskiej w stolicy Prywatna Szkoła Michalskiej, Pawiak, przymusowe roboty w Niemczech, od 1 stycznia 1944r kasjerka w Spółdzielni, Delegatura Rządu na Kraj, od kwietnia 1944r A K.  
| Przed wojną pracowałam w Z H P .

III | We wrześniu 1939r pełniłam służbę jako harcerka na ul Powązkowski  
W październiku byłam ranna.

IV Po powrocie z Niemiec Pawłowski ps " Grabowski" zaproponował  
| współpracę w Delegaturze Rządu na Kraj, Przysięge odebrał Jan  
Uchyma Uchman ps. " Kowal"

Od kwietnia 1944r, przeyszałam do A K ( mój mąż Jeremi Rosnowski)  
W czasie powstania mp. "Macierzynsstwa" " Ambrozja" batalion  
" Żaremba- Piorun"

W Delegaturze Rządu na Kraj opiekowałam się aparatami nadajnymi  
i donosiłam je na miejsce radiowego nadywania. Wyszukiwałam adresy  
bezpieczne dla tej pracy. Kilka razy byłam w opresji, gdy Niemiec  
interesował się ludźmi w pobliżu.

Na placówce powstańczej prowadziłam kronikę i adresy uczestnik-  
ków, byłam łączniczką z komendą.

Niemcy znaleźli aparat nadawczy radiowy w domu rodziców, aresz-  
towali brata Władysława, który zginął w Oświęcimiu w 1943r.

Po powstaniu przebywałam w obozach: Lambinowicach, Mulbergu, Alten-  
burgu, Molsdorfie i Blankenhaimie.

IX Zamieszkałam w Szczecinie wraz z mężem i jego trzema cówrami.  
Pracowałam w szkole i uzupełniałam swoje wykształcenie. W roku 1952  
przenieśliśmy się do Zielonki pod Warszawą, a w 1966 zamieszkaliśmy  
w Warszawie. W 1976r przeszłam na emeryturę.

DOKUMENTACJA i ODZNACZENIA.

2/5

Polski Czerwony Krzyż - Wyciąg dokumentów dn. 18 maja 1978r.  
Oświadczenie świadka Pawłowski Stefan dn. 15 lutego 1977r.  
Jan Uchman Oświadczenie dn. 8 II 1977r.  
Jenieckie karty pocztowe i mój numer jeniecki.  
Zdjęcia z placówki powstańczej.

Warszawski Krzyż Powstańczy nr. 278291 K dn. 10 II 1982r.  
Medal Zwycięstwa i Wolności nr. 1328641 dn. 22 I 1986r. Kr  
Krzyż Armii Krajowej nr. 1693346 dn. 21 IX 1993r.  
Odznaka Weterana Walk O Niepodległość dn. 6 X 1995r.  
" Akcja Burza" nr. I 22 163.

Odznaczenia za pracę w szkole:

Srebrny Krzyż Zasługi nr. 260197 dn. 20 VIII 1954r.  
Złoty Krzyż Zasługi nr. 512% 73 % 226. dn. 27 IX 1973r.  
ZŁOTA Odznaka Z N P nr. 029839 dn. 16 VI 1975r.  
Medal Komisji Edukacji Narodowej nr. 2407 dn. 28 VIII 1980r.

Wzmianki w literaturze

Waldemar Grabowski

Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Kraj"  
fotografia, wzmianka o Janie Uchmanie, adresy.

Cezary Leżanski

"Zetrzyj z włosów pył bitewny" na str. 114 moje opowiadanie.

Tadeusz Baczyński

" Zarenba- Pierun" - moje nazwisko w spisie i opowiadanie  
"My od Jeremiego".

[V/VI 1999]<sup>1</sup>

*St. Posnowski*

<sup>1</sup> Datację określił sprostowujący



Amelia Rosnowska z d. Rutkiewicz i voto Bogalska

ur. dn. 19 IV 1912r. w Leningradzie d. Petersburg.  
córka Witalisa i Anny z Zukowskich.

nauczycielka wyksz. niepełne wyższe

Pracowałam w zawodzie od 1933r. - 1972r.

zam. Warszawa ul. Potocka 33 m 27 tel. 33 41 02

Przed II wojną światową należałam do ZHP. Jako nauczycielka prowadziłam świetlicę dla dzieci Powiśla (na ul. Czerniakowskiej i Zagórnaj.)

II Wojna Światowa

We wrześniu dostałam przydział pracy z ZHP w przychodni na ul. Powązkowskiej. Mieszkałam z rodzicami na ul. Okrąg 4a. Tylko kilka razy udało mi się przedostać na Powązki, bo naloty utrudniały dojeżdżanie, a komunikacji żadnej nie było. Zabroniono mi odchodzić tak daleko od domu. Ratowałam więc ludzi zasypanych na ul. Ludnej, gotowałam wraz z mamą posiłki i zносиłam ludziom zebranym w piwnicy naszego domu.

24 IX w czasie wielkiego nalotu zostałam ranna w udo. Do kapitulacji Warszawy leżałam w piwnicy z dużą gorączką. Potem lekarz zrobił prawdziwy opatrunek. Na Boże Narodzenie wydobyto odłamek i od tam rana zaczęła szybko się goić.

Pracę nauczycielską rozpoczęłam w styczniu w Prywatnej Szkole Powszechnej Jadwigi Michalskiej na ul. Chłodnej.

28 IV 40 r. Wyszłam zamaż za Lucjana Bogalskiego. Dn. 16 V gdy szłam do szkoły, zaczepił mnie żołnierz niemiecki, a gdy ja splunęłam w jego stronę uderzył mnie w twarz, ja mu oddałam z soczystym epitetem "ty szwabie". Niemiec mnie zbił po twarzy i po głowie, potem zaprowadził do Uniwersytetu, gdzie byłam przesłuchana. Gdy zajrzano do dowodu osobistego (jeszcze miałam nazwisko panienskie) zapytano mnie czy jestem Rosjanką? Oczywiście zaprzeczyłam, choć może potraktowano by mnie łagodniej. Obiecane mi "kulkę w łeb", bo obraziłam niemieckiego żołnierza.

W asyście dwóch przybyłych żołnierzy z karabinami przeszłam na Szucha. Tam przesłuchał mnie ponownie gestapowiec o złych oczach. Kazał mnie stać w kącie tyłem do pokoju w tym czasie, gdy mój oprawca zdawał relacje z zajścia na ulicy. Potem przez tłumacza, wysłuchał moich odpowiedzi. Zaprowadzono mnie do "tramwaju". Siedziało tam już kilka osób. Po południu zawieziono nas "budą" na Pawiak.

Noc przesiedziałam w celi na dole wraz ze zgarniętymi z ulicy prostytutkami. Rano zaprowadzono nas pod prysznic i rozdzielono



po celach. Dostałam się do celi na I piętrze w koncu korytarza z oknami na ulicę. (tuż nad kancelarią). Zastałam tam p. Drewnowską, żonę naszego wizytatora z seminarium, p. Zofię z pisma "Arkady" na ul. Królewskiej, 2 siostry młode dziewczyny, Krysie z Lublina, p. Węgierkówną właścicielkę dużego sklepu bławatnego na ul. Marszałkowskiej róg Wspólnej i kilka innych kobiet. Cella była przepełniona więc do spania trzeba było ustawiać taborety między pryczami i na nich układać zmierzwiene sienniki.

Rezpczełam systematycznie gimnastykować p. W. co dało nadszpodziewane rezultaty, gdyż chora zaczęła wstawać, a potem mogła już wychodzić na krótkie spacery na podwórko. Niestety wzięto ją kiedyś na przesłuchanie, a potem umieszczono w szpitaliku więziennym na górnym piętrze. Tam udało mi się jeszcze dwukrotnie przedostać. W czerwcu ją i p. Drewnowską wywieziono na rozstrzał. (leżą w Palmirach).

W koncu czerwca przewieziono mnie na Szucha na przesłuchanie. Tym razem nauczona przez panie w celi, kłamałam, że powiedziałam "ty chamie") Po kilku dniach stanęłam na "komisje lekarską" i w ramach przygotowania wolnych miejsc w celach, wywieziona na roboty do Niemiec.

Już w pociągu poznałam 5 braci Zajączkowskich i dwóch innych młodzieńców, wszystkich na tej samej zasadzie zwolnionych z Pawiaka. Postanowiliśmy trzymać się razem. W Wasserburgu przeżyliśmy upokarzające chwile, kiedy nas "kupowano". Zdołaliśmy przeprowadzić swój zamiar i dostaliśmy się do Garsu nad Innem. Mój gospodarz nazywał się Andreas Schachner (Gars a/ Inn Ober Bajer). 2 najmłodszy bracie przyjeździ do klasztoru, średni w piwiarni, Janek u sołtysa, Karol u biednego gospodarza (zwolniono go wkrótce, bo był chory na gruźlicę, zmarł w kraju).

Otrzymaliśmy, oczywiście znaczki "P" żółto-fioletowe, które nosiliśmy dumnie na każdym ubraniu i nauczyliśmy innych Polaków, pracujących u Niemców, nie nakrywać wstydliwie tej litery.

Do moich obowiązków należało sprzątać cieletnik, zmywać naczynia, pracować razem z dziewczynami, sprzątać w sobotę wielką sien i zamiatać izbę jadalną. Potem dużo cerowałam i haftowałam. Na pole raz wyszłam, ale wszyscy mieli takie tempo, że wieczorem byłam bardzo zmęczona i nie dałam się namówić drugi raz. W tym czasie 3 moich kolegów uciekło i pisali już listy do mnie.

Siostra moja Irena, wiedząc, że źle się czuję, zgłosiła się pokryjomu przed rodzicami, do Arbeizamtu, że chce za mnie jechać na roboty do Niemiec. Zabrali ją, ale mnie nie puścili. Dopiero gdy zbliżała się zima, a gospodarz wiedząc, że ze mnie nie ma pożytku, a przez zime musiałby mnie płacić 3 marki tygodniowo, zrezygnował ze mnie. Tym sposobem dostałam się na-



na liste wyjeżdżających do domu. Młodzi bracia Z też wracali. Miłe słowa usłyszeliśmy od żandarma, który dawał nam przepustki. "Ty jesteś złą pracownicą, ale jesteś dobrą Polką. Jeśli jest was tam więcej takich, to będziecie mieli tę swoją Polskę". Odprowadził nas daleko w stronę dworca, bo była noc.

Na dworcu w Warszawie byłam 3 XII 1940r. Płakałam ze szczęścia. Po kilku dniach zgłosiłam się do gestapo po klucze do mieszkania, ponieważ mój mąż został aresztowany i wywieziony do Oświęcimia, a mieszkanie opieczetowane. Przejechałam wraz z Niemcami na Saską Kępe i tam po otwarciu drzwi i pobieżnym rozejrzeniu się kazano mi podpisać papier, że "wszystko w porządku". Oczywiście podpisałam, choć widziałam okropny nieporządek w całym pokoju. Uschnięty bukiet ślubny stał tylko nitknięty. Brakowało jednak najładniejszych kompletów bielizny, kilku poduszek, robionych przeze mnie. Obciążające zaś papiery leżały pod dużą donicą asparagusa, który był już żółty.

Od stycznia zaczęłam pracować jako kasjerka w sklepie "Społem". Kierownik jego St. Pawłowski (ps. Grabowiecki) wciągnął mnie do konspiracji. Przysięgę przyjął ode mnie Jan Uchman (ps. Kowal"). Należałam do komórki łączności z Londynem (Delegatura Rządu na Kraj). Obowiązkiem moim było donieszenie aparatury nadawczej na miejsce nadawania, następnie odbieranie jej i przechowywanie. Często nadawaliśmy depesze z domu mojej siostry Jadwigi na Sadybie ul. Podgórska, Mój brat Władysław też z nami pracował: z bronią w ręku obstawiał mnie lub tych, którzy przynosili części do aparatury pochodzące ze zrzutów. Pomagał mamie w sklepie, przechowywał aparaturę w piwnicy domu, zajętego przez Niemców, znosił też tam worki z solą, burakami, i innymi artykułami. Gdy brata aresztowano i wywieziono do Oświęcimia, dostałam polecenie wydestania wszystkich worków z piwnicy. Dozorca tego domu był Polakiem, ale pił, nie można więc go było wtajemniczać. Ja nie wiedziałam w której piwnicy wszystko to leży. Rano przed pójściem do szkoły (wtedy, gdy mama była w kościele, poprosiłam dozercy, aby pomógł mi wynieść worki z piwnicy, bo produkty potrzebne są w sklepie. Dozorca zaprowadził mnie do piwnicy. On wynosił sól, buraki, ziemniaki, a ja lekkie nieforemne worki, pod którymi też się ugiinałam, aby nie zwrócić uwagi. "Niebezpieczne" paczki natychmiast były zabierane ze sklepu i wynoszone.

Władek zmarł w Oświęcimiu.

W tym samym czasie uczyłam na tajnych kompletach dzieci ze szkoły Heleny Chełmskiej. Podlegaliśmy inspektorowi Szczerbie. Komplet odbywały się w prywatnych mieszkaniach: u pp. P na Chmielnej, u ppK na Królewskiej, na Marszałkowskiej, pod Żelazną Bramą, na Granicznej. W pomieszczeniu szkolnym były tylko dzieci przedszkolne i I kl. jako przedszkolaki. Raz na miesiąc poszczególne klasy



zbierały się w szkole, aby tam mieć wszystkie lekcje. Oczywiście uczniowie musieli przestrzegać tajemnicy. Pracując na kompletach przygotowywałam uroczystości związane ze świętami Bożego Narodzenia Wielkiej Nocy 2 II listopada, 3 Maja.

W maju 1942r. dostałam z gestapo wiadomość, że mogę sprawdzić prochy męża- Lutka, który zmarł w Oświęcimiu. Powszechnie odradzano mi, bo w obozie napewno nie dbają o to, aby zbierać prochy poszczególnych więźniów, zresztą jak urządzić pogrzeb?.

Praca konspiracyjna pozwalała mi zapamiętać o ciociach spadających na naszą rodzinę, bo i o Bernardzie nie dochodziły dobre wiadomości: podobno złapano go na terenie ZSSR, ktoś mówił, że siedział gdzieś w więzieniu na wschodzie. On zdaje się został wciągnięty do lewicowej organizacji. Mówił, że nauka chrześcijańska uczy poddaństwa (gdy ktoś uderzy cię w lewy policzek, nadstaw mu prawy). Niechętnie chodził do kościoła na mszę. Mama wtedy powiedziała "wolałabym go widzieć w trumnie niż niewierzącego". Nie wrócił dotąd, choć kolega, który z nim poszedł na wschód, jest teraz wysoki partyjnym.

W XII 1943 r. poznałam Jeremiego Resnowskiego, oficera kawalerii, który musiał uciekać z Lublina przed gestapo. (prowadził tam komórki fałszerstwa dokumentów, miał powiązania z B CH) na terenie Warszawy organizował grupy do walki z okupantem. Przeszłam więc do AK i od tam donosiłam broń na miejsce ćwiczeń, doprowadzałam go na spotkania z oficerami AK. 19 III 1945r. wzięliśmy ślub.

Od I sierpnia braliśmy udział w powstaniu w zgrupowaniu "Zaręba - Pierun", komp. "Ambrozja" pluton "Jeremiego". Nasze m.p. "Macierzynstwo" na ul. Hożej. Utrzymaliśmy tę placówkę pomimo ostrzeliwania nas przez Niemców, spalania domów po drugiej stronie ul. Em. Plater. , zdjęliśmy zrzut z kościoła. Jeremi zorganizował ludzi siedzących w piwnicach zebrał z domów maszyny do szycia a krawcy poszysli nam "mandury" z materiałów ofiarowanych przez właściciela magazynu, skąd wynosiliśmy bele materiału w czasie petaru. Szewcy reperowali nam buty, które przepalały się na tłących gruzach. Stanowiliśmy swą solidną grupę, to też gdy ogłoszono upadek powstania nalestowaliśmy Jeremiego, aby ukryć się w gruzach i nadal prowadzić walkę z Niemcami. Dowódca jednak nakazał posłuszeństwo d władzen AK.

Podpisaliśmy się więc na banknotach stużłotowych i wręczaliśmy mu jako prezent.

Poszliśmy wszyscy do niewoli. Maie zakennice proponowały habit, abym razem z nimi poszła z cywilami ale ja nie chciałam zostawiać swoje dziewczęta. Przyjaciele mieszkający w Ożarowie też <sup>ich</sup> tym razem też nie skorzstałam.



Byłam w następujących obozach jenieckich: Lamsdorf, Altenburg  
Mühlberg, Melsdorf i Blankenheim, gdzie nas Amerykanie oswoędzili.  
Mój numer jeniecki: I063II

W czasie pobytu w obozie jenieckim pisałam systematycznie  
pamiętnik w formie listów do Jeremiego. Nie ma tam bohaterstwa  
ani wielkich czynów jest trwanie, oczekiwanie na wolność i to  
jak żyłszy by przetrwać.

Przez cały czas byłam plutonową, czyli opiekowałam się  
grupą kobiet w mojej sali, byłam odpowiedzialna za ich karność  
i dyscyplinę, starałam się zorganizować życie wewnątrz grupy,  
aby było łatwiej przetrwać. Urządzałam przedstawienia, wieczorki,  
wymyślałam zabawy "towarzyskie" na pryzkach.

W połowie kwietnia przyszła wolność!!!

Załączam: 2 fotografie z powstania  
I zdjęcie banknotu z podpisami  
xero legitymacji Krzyża Powstanczego  
xero Wyciąg dokumentów z P C K  
xero zaświadczenie ZBoWiD Zaliczenie lat pracy w  
konspiracji  
wycinek ze starej gazety

Mam blankiety listów pisanych do mnie do obozu, kartę z Oświęcimia  
napisaną przez brata Władka, legitymację A K męża Jeremiego,  
i wiele różnych drobnych zapisków. — to dotychczasowe do pa-

mistrzów, który ma Paweł  
Rutkiewicz.

Zeszyt, w którym pisałam listy do Jeremiego  
będąc w obozie, znajduje się w Bibliotece Na-  
rodowej w Warszawie przy ul. Krakowskich,  
Treść tych listów jest w pamiętniku  
u Pawła Rutkiewicza Warszawa ul. Potocka 58



1/2. KORRESPONDENCJA I AKTA DOKUMENTUJĄCE  
DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNĄ RELATORA

- Korespondencje adresowane do obozu jenieckiego, druk (kopia), k.1, s.1
- oświadczenie świadka Jana Lehmana ps. "Kowal", Warszawa 1977, mps, ksero, k.1, s.2
- oświadczenie świadka Stefana Pawłowskiego, Warszawa 1977, mps, ksero, k.1, s.3
- Wyciąg z dokumentów wydanych przez PCK Zarząd Główny, Warszawa 1978, mps, ksero, k.1, s.4
- Legitymacja Nr 306770, 2 BOWiD, Warszawa 1982, druk, ksero, k.1, s.5



I/2-1

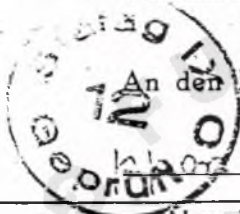
Hier abtrennen!

Tu oddzielić

20

Kriegsgefangenenpost (Gebührenfrei)

Antwort-Postkarte



An den Kriegsgefangenen

Amelia Rosnowska



Absender:  
Nadawca:

34  
Geprüf  
Stalag IV F

Gefangenenummer: 106311

Vor- und Zuname:  
Imię i nazwisko:

Bożumita Smogacz

Lager-Bezeichnung

M.-Stammlager IV F

Hartmannsdorf (Post Burgstädt) L. Sa.

Arbeits-Kommando Nr. 937

Ort: Opatowitz

Miejscowość:

Straße: Alchemicka 30

Ulica:

Kreis: Sachhausen

Powiat:

Deutschland (Allemagne)



mój numer jeniecki.  
(różowy kartonik).



Warszawa, dnia 8.II.1977 r.

Jan Uchman ps. "Kowal"  
ul. Elektoralna 17c m.1  
00-137 Warszawa

O s w i a d c z e n i e

Jako uczestnik Ruchu Oporu w Delegaturze Rządu na Kraj od listopada 1941 r. do października 1943 r., świadomy odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość <sup>podanych</sup> niżej przeze mnie faktów, legitymujący się dowodem osobistym seria i numer SJ 5136132 wydanym dnia 21 października 1964 r" przez KDMO Warszawa-Sródmieście,

oświadczam :

że ob. Amelia Rosnowska z domu Rutkiewicz córka Witalisa i Anny urodz.dnia 10 kwietnia 1912 r. w Petersburgu jest mi znana osobiscie, jako uczestniczka Ruchu Oporu w komórce radiowej Delegatury Rządu na Kraj w czasie od marca 1942 r. do kwietnia 1944 r.

Wyżej wymieniona posiadała pseudonim Ama i brała udział w pracy komórki radiowej do łączności z Londynem w Delegaturze Rządu na Kraj. Jej zadaniem było przenoszenie radiostacji do lokali, w których odbywało się nadawanie i z powrotem do miejsc przechowywania stacji. Równocześnie jej mieszkanie przy ul. Kruczej, a później przy ul. Ogrodowej służyło za miejsce pracy radiostacji, albo lokal, w którym radiostacja była przechowywana. Amelia Rosnowska zaangażowała do tej pracy również swoją rodzinę, w tym brata Władysława, który zginął w Oświęcimiu, matkę Annę Rutkiewicz i siostrę Jadwigę Oberdową. Przez cały ten czas-do przejścia do Armii Krajowej-pozostawała pod moim kierownictwem.

Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem.

Jan Uchman ps. "Kowal" podporucznik rez. b.kierownik komórki radiowej do łączności z Londynem Delegatury Rządu na Kraj.

Nr leg.członk.ZBOWiD 26225, nr ewid. akt ZBOWiD W-10544

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW  
OWOLN. BOJOWNIKÓW  
KOLEJ. N. A.  
Warszawa-Sródmieście  
ul. Czyskowska Nr 4/8

*Stwierdzam w tym zakresie  
później*



I/2-3

Paździowski Stefan  
"Grobociewski" H. Reymonta 40-7  
(Nazwisko, imię, pseudonim i adres składającego oświadczenie)

Warszawa, dnia 15 lutego 1977 r.  
(miejscowość)

Odpis

### OŚWIADCZENIE ŚWIADKA

- Ja, jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową od — do): Od 1X 39 r. w Ruchu Oporu Chłop. "Rutki" od 1 IV 40 przed. Trojki politycznej na K-CH BCH na woj. warszawskiej od 1 V 40 w Delegatka Rządu na Kraj powołowa jako zastępcę świadomy(a) odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość po-  
a od 1X 42 w Delegatka Rządu na Kraj powołowa jako zastępcę świadomy(a) odpowiedzialności wynikającej z przepisów prawa karnego za prawdziwość po-  
danych niżej przez mnie faktów, legitymujący(a) się dowodem osobistym seria i numer  
Mr 39 251 89 24 wydanym dnia 29 VIII 63 przez  
Pr Pol.

### o ś w i a d c z a m:

ze ob. Amelia Rosnowska z d. Rutkiewicz (córnka) Witalina i Anny  
urodz. dnia 10 września 1912 roku w Lesingu na die  
jest mi znany(a) osobiście jako uczestnik(czka) (wymienić formację Ruchu Oporu, nazwę obozu lub więzienia, formację wojskową oraz okoliczności, w których świadek zetknął się z otrzymującym(ca) oświadczenie i czasokres od — do): Od 1 stycznia 1941 Amelia Rosnowska z d. Rutkiewicz pracowała w Spółd. Spex "Sarkis kupa" jako kucharzka. W kwietniu 1942 r. jako zast. kierownika Wydz. Presyd. Deleg. Rządu - zastępcą sekretarza ds. do pracy w Delegaturze Rządu na Kraj.

Wyżej wymieniony(a) posiadał(a) pseudonim "Sma" i pełnił(a) funkcję — brał(a) udział (w tej części opisać się: przebieg służby i działalność w okresie bezpośredniego udziału w walkach wolnościowych, pełnioną funkcję, stopień wojskowy, w jakich był(a) oddziałach, grupach, placówkach, pod czym dowództwem, kierownictwem, udział w akcjach bojowych i innych, w jakich miejscowościach, nazwa obozu itp. wszelkie zmiany i czasokres od — do): Amelia Rosnowska z d. Rutkiewicz pseudonim "Sma" przydzielona została do Komórki łączności radiowej z szeregowej. Do jej obowiązków należało przekazywanie na radio meldów i innego sprzętu radiowego, dostarczanie na punkt nadawania i odbioru nadajników po skończeniu pracy. W komórce tej pracowała do kwietnia 1944 r. potem przeszła do "AK".

Jeżeli świadek jest członkiem ZBoWiD, powinien wpisać numer legitymacji członkowskiej 11243 wydanej przez Zarząd Okręgu w Warszawie.

pieczęć notariusza  
Własnoręczność powołano stwierdza się:  
Amelia Rosnowska  
o.Władze od Demokracji  
Warszawa - Śródmieście  
ul. Czajkowskiej  
15 II 77. /podpis mecyskelu

Prawdziwość powyższych danych stwierdzam własnoręcznym podpisem

podpis mecyskelu  
(Nazwisko, imię, stopień wojskowy, funkcja, stanowisko)





**FOLSKI CZERWONY KRZYŻ**

**ZARZĄD GŁÓWNY**

**BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ**

**Nr. B. Inf. 388/138**

Konto w NBP IV Oddział Miejski  
Nr 1043-444-132

I/12-4  
Warszawa, dnia 10 Maj 1978 r.  
Mokotowska 14 Tel. 28-52-01  
Adres pocztowy 00-950 Warszawa, skrytka pocz. Nr 47

Odpowiedź na pismo

Nr ..... z dnia .....

**WYCIĄG Z DOKUMENTÓW**

Nazwisko ROSNOWSKA ----- Imiona Amelia ---

Data urodzenia 10.IV.1912r. Miejsce urodzenia -----

Imiona rodziców ----- Zawód -----

Ostatni adres ----- Stopień podporucznik, A.K. ---  
i przydz. wojsk.

Data aresztowania w ----- przez -----  
wzięcia do niewoli -----

Data przekazania 30.X.1944r. z obozu jenieckiego w Łambinowicach ---

Do Stalagu IV-B Mhlberg ----- przez -----

Numer ~~WIEDNIK~~ kategoria więźnia jeniec wojenny w niewoli  
jeńca 106311/318 niemieckiej ---

Przeniesienia - 12.XII.1944r. z Zweiglager Altenburg do Stalagu IX-C Bad Sulza ---

Ostatnia wzmianka w dokumentach: -----

Uwagi: -----

Podstawa: 1.strat PCK:6519,6149

Adresat: Pani

Amelia Rosnowska  
ul. Potocka 33 m.27  
01-631 Warszawa



I/25-5

**ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW  
O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ**

**Legitymacja**

**Nr \* 306770**

uprawnijąca do przejazdów  
kolejami państwowymi i PKS  
według 50% zniżki

**KOMBATANT  
RENCISTA - EMERYT**

*Amelia Rosnowska*  
Imię i nazwisko

Zaświadczenie kombatanckie Nr *521593*

wystawione przez Zarząd Wojewódzki

ZBOWiD w *Kraśnik*

*Warszawa 14. PAZDZ 1982*

miejscowość i data wystawienia legitymacji



**Sekretarz ZWOWiD**

*Roman Grzybowski*  
**Roman Grzybowski**



Ważna na okres  
stały

*Rosnowska*  
podpis  
posiadacza legitymacji



Ważność legitymacji przedłużono na rok

19.....r.	19.....r.	19.....r.	19.....r.
19.....r.	19.....r.	19.....r.	19.....r.

\* niepotrzebne skreślić

FUNDACJA  
OKRĘG POMORZE  
AK  
ELŻBIETY



1/3

MATERIAKY UZUPEŁNIAJĄCE

- "Dziś sen" - wspomnienie dotyczące pobytu na robotach w Niemczech w 1940r., mps (oryg.), k. 27, s. 1-27
- Fragmenty pamiętnika, mps (oryg.), k. 4, s. 28-31
- Fragmenty pamiętnika, mps (oryg.), k. 4, s. 32-35
- Cezary Leśedzki, Zetrzyj z włosów pył bitewny, 1996, mps (kopia), k. 2, s. 36-37



Był gorący, lipiec 1940 r. Powietrze w celi duszne, nieruchome, jeszcze nie rozwiłała się atmosfera beznadziejności i przygnębienia po ostatniej wywózce. Nocne polowania na pluskwy odbijały się na nas gnuśnością i ospałością. Bałyśmy się nocy, które nie przynosiły zapomnienia i sennych marzeń. Już dawno nie śniłyśmy, a więc nie było i porannych wróżb, które wносиły do naszego monotennego więziarskiego życia nikiel barwy i blaski nadziei. Jeżeli którejś śniła się biała, uprana bielizna łopocąca na wietrze - "wyjdiesz na wolność" - tłumaczyłyśmy. Zielony swierk - wolność, dużo butów - opuścisz więzienie itd... itd.

7 lipca miałam sen: Do celi weszła "Kaczucha" i wyczytała z listy kilka nazwisk młodych więźniarek, miały być gdzieś wywiezione, mnie wśród nich nie było. Tłumaczyłyśmy to na różne sposoby, które nieodmiennie kończyły się: wyjdę na wolność.

Zaraz po śniadaniu drzwi otworzyły się, klucznica wywołała moje nazwisko i kazała natychmiast wyjść bez niczego. Nie lubiłyśmy takich zawiadomień, oznaczały wyjście na przesłuchanie lub wywózkę bez powrotu. Ja już byłam przesłuchiwana, więc nie spodziewałam się ponownych odwiedzin na Szucha. Wywózki odbywały się zwykle bardzo wczesnym świtem, teraz zaś była godz. 9.

Wyszłam na korytarz skąd wraz z grupą kobiet przeprowadzono nas na męski Pawiak, gdzie stanęłyśmy przed "komisją lekarską".

W ogromnej sali przy różnych stolikach siedzieli umundurowani Niemcy w białych fartuchach. Jeszcze kilku wymizerowanych mężczyzn stało przy ostatnich stolikach, gdy kazano nam się rozbierać, nawet koszule musiałyśmy zdjąć. Wychodząc z rozbieralni miałam na sobie tylko małe figi. Gdy to zobaczył Niemiec wrzasnął na całą salę, a strażnik szarpnąwszy tę miserną niebieską sztkę, rzucił ją w kąt sali.



Przechodziłyśmy kolejno od jednego "specjalisty" do drugiego, którzy kazali nam stwierać usta, oczy, obracać się tyłem, przodem, pokazywać ręce i głowę. "Lekarze" notowali coś na kartce, którą wędrowała wraz z "pacjentem" aż do ostatniego stolika. Rozmawiali przy tym głośno i wesoło, wybuchając od czasu do czasu rubaszny śmiechem, nie patrząc nawet na przesuwający się szereg "pacjentek". Krótka trwała ta szczególna "komisja lekarska", dla nas jednak była nie kończąca się wędrówka, pełna upokorzeń, niewypowiedzianej nienawiści i pogardy.

Odprowadzono nas do celi i kazano natychmiast zabrać wszystkie swoje rzeczy. Krótkie uściaki, błogosławieństwa, wsuwanie do mego tobołka drogich pamiątek. Kryśka - blondynka z Lublina oddała mi swą małą brązową książeczkę do nabożeństwa, o której wiedziałam, że przypomina jej dom rodzinny. Dlatego oszłam się bogato obdarowana i waruszona.

Drzwi celi zatrzęsnęły się, a ja zostałam poza nimi, ale bardziej niespokojna niż wśród czterech brudnych ścian celi i dziesięciu dobrych i życzliwych współwięźniarek spod 25. W kancelarii oddano mi depozyt: fotografie ślubne, "żółtą" obrączkę, którą nosiłam zaledwie 2 tygodnie i dowód osobisty jeszcze na panińskie nazwisko.

Na dziedzińcu Pawiaka stała buda, do której cisano zakładowano kobiety i mężczyzn. Nikt nie wiedział dokąd nas wiozą. Snuliśmy szeptem przypuszczenia: na wolność nie, bo nie badano by nas, na rozstrzał wywożą rano, może do innego obozu?... może do Niemiec...

Zawieziono nas na Pragę do szkoły przy ul. Skaryszewskiej. Tam przenocowaliśmy na podłodze wyłanej startą już słomą. Następnego dnia przeszliśmy na dworzec pod eskortą uzbrojonych żołnierzy,



którzy nie dopuszczali do nas ani znajomych, ani rodziny, towarzyszących nam w tej smutnej wędrówce.

Już w "budzie" wiele serdeczności okazała mi grupka młodych więźniów. Jechaliśmy następnie w jednym przedziale. Byli to Andrzej - technik, Jurek - urzędnik oraz 5 braci Z. od 16 - 25 lat. Pociąg składał się z wielu wagonów wiozących ochotników na roboty do Niemiec. Gdy jechaliśmy przez tereny polskie widziałam żołnierzy eskortujących nasze przedziały. Ciężko było jechać w nieznanym, wrogim świecie, wbrew własnym planom życiowym, pozostawiając bliskich bezradnych i pełnych niepokoju. Niektórzy pasażerowie wyrażali zadowolenie, że choć w taki sposób udało im się wyrwać spod opieki gestapo.

Na stacji w Częstochowie, gdzie dłużej staliśmy do okien pociągu podszedł sprzedawca dewocjonalii i różnych drobiazgów. Został otoczony ze wszystkich stron. Kupiłam zeszyt i ołówek. Wśród kupujących wyróżniał się rozgwieżdżony, ciemny, młody człowiek, który zachowywał się hałaśliwie i beztrosko. Zakupił dwa medaliki i ucałował je zawieszając na włochatej piersi "Niech mnie Bógia broni, bo jadę do diabłów". Przedstawiał charakterystyczny typ warszawskiego owaniaka w niedbałym stroju, o nieoczekiwanych reakcjach i wściekłym poczuciu humoru. Choć był groźnej postaci wniósł jakieś odprężenie, czym zyskał sobie sympatię. Dał się potem bliżej poznać, gdyż chodził po całym pociągu, śmiał się, rozmawiał ze wszystkimi, hałasował.

Pamiętam też młodą niewiastę /też z Pawiaka/ o bujnych kształtach, która zajmowała całą ławkę w sąsiednim przedziale wylegując się leniwie przez cały dzień, ubrana w nocną koszulę z dużym koronkowym dekoltem. Ona nie była przerażona wyjazdem "wszędzie można żyć, byle nie w celi" - oto jej dewiza, którą głośno i często powtarzała.



Nie wiem, ile czasu jechaliśmy. Moja rozpacz i niepokój przed nieznanym jutrem nie pozwoliły myśleć spokojnie i obserwować drogę. Moi współtowarzysze niedoli opiekowali się mną i przyrzekli, że nie opuszczą mnie. W drodze opowiedzieliśmy sobie jakie wydarzenia zaprowadziły nas do więzienia. Bracia Z. jeszcze za życia ojca zmienili swoje nazwisko brzmiące z niemiecka na polskie. Teraz matka - wdowa namawiała synów, aby wrócić do nazwiska niemieckiego i przyjąć folkalistę. W ten sposób polepszą sobie byt, gdyż mieli jeszcze siostrę było ich więc 7 osób. Chłopcy stanowczo opierali się. Matka widać poskarżyła komu trzeba i oto chłopcy, zwolnieni z więzienia, jechali do Niemiec na roboty. Karol najstarszy spokojny, łagodny, warty i blady pracował w jakimś biurze. Janek pogodny, zdrowy blondynek kończył teologię - miał zostać pastorem. Heniek bestroski cwaniak z Powiśla z wybitymi siekaczami już pracował, Stach - osiemnastoletni bezwolny młodzieniec uczył się zawodu oras Rysio uczeń gimnazjalny elokwentny, dowcipny, stale buntujący się przeciwko wszystkiemu. Dwaj pozostali to Andrzej technik-elektryk pracownik jakiejś firmy, spokojny, zrównoważony poważny. Jurek b. sekretarz biskupa, dowcipny, inteligentny, bestroski. Nie wiem, dlaczego znaleźli się w więzieniu.

I ja: 23-letnia nauczycielka, dwutygodniowa mężatka, splunęłam w odpowiedzi na zaczepki Niemców. Dostałam w twarz, oddałam z rozmachem i słowami "Ty szwabie"... Zostałam pobita, skopana i zaprowadzona na Szucha. Siedziałam tam w "tramwaju" potem na Pawiaku. ....

#### Targ niewolników

Dojechaliśmy do Wassergurga. Tam spędzono nas wszystkich

do poczekalni, w których były tylko jedne drzwi. Przed tymi drzwiami na sewnątrz ustawiono stoliki, na których leżały listy. Wokół stołów tłoczyli się cywilni Niemcy - pracodawcy. W poczekalni było duszno, ciasno, rojno. Siedziałam z chłopcami na ławie pod oknem, trzymając na kolanach miserny dobytek więźniarski. A na środku piętrzyły się obłe tłumoki z pościelą, skrzynki rekruckie, stare walizy przewiązane sznurami, nieforemne kanciaste paczki, wory duże i małe, nędzne i mocne, opasane rzemieniami lub szmatami - tak przedstawiał się majątek tych, co jechali do Niemiec powiększyć go lub uchronić swoje życie.

Wśród tego wszystkiego tłoczył się sgorączkowany różnoraki tłum ludzi o niespokojnych twarzach, rozgorączkowanych ruchach i wylęknionych oczach. Ze sposobu mówienia i ubioru można było wnosić, że przeważali ludzie ze wsi i małych miasteczek.

Wtem, donośny bas grubego Niemca uciszył bezładny gwar, wtedy na środek weszła pretensjonalnie i z miejską ubraną kobieta i ohydą polszczyzną oznajmiła, że za chwilę trzeba będzie zgłaszać się do pracy. Wyrazy typu "choeta, zgłaszajta się, mas"... gęsto przeplatały jej przemówienie. Była pewna siebie i dumna ze swej roli tłumaczki.

I oto rozpoczął się targ:

Do poczekalni wszedł bauer i po krótkiej rozmowie z tłumaczką rozległ się jej głos:

"Potrzebny chłop do koni" -

Spod ścian tłumnie wystąpili mężczyźni.

Wybrany z radosnym pośpiechem zabierał swe pakunki i opuszczał pomieszczenie.

"Baba do krów" -

Wysunęły się kobiety, niektóre z dziećmi na ręku. Znow ktoś opuścił salę.



- Rodzina do gospodarstwa...
- Chłopak do pasania bydła...
- Baba i chłop bez dzieci...
- Dojarka...
- Chłopak do koni.
- Kobieta do krów...

Coraz więcej ludzi opuszczało poczekalnię, coraz bardziej zmniejszała się sterta paczek. My tylko siedzieliśmy na ławce pod oknem. Drżałam aby chłopców nie zabrano i żebym nie została sama. Czułam jak łzy napływają mi do oczu, odwróciłam więc głowę w stronę okna, chcąc zająć się obserwacją tego co się dzieje poza tym okropnym targowiskiem. Widziałam jak leniwa pasażerka z pociągu demonstrująca swoje koronkowe karo, dreptała przy grubym Tyrolczyku dźwigając walizę. Widać ciężar to był nielada, bo przegięta była w jedną stronę, <sup>wyciągając</sup> ~~wyginając~~ wysoko drugą rękę dla równowagi. "Pan" jej szedł lekuchno, z rękami w kieszeniach, a piórko na stożkowatym kapeluszu chwiało się figlarnie. Właściciel jego widać rad był z transakcji, ale nie dostrzegając tego, że powinien kobiecie pomóc w dźwiganie ciężaru.

Obserwacje zostały przerwane, gdyż okazało się, że poza nami nikogo już w sali nie było. Wtedy weszło kilku bauerów i chcieli zabrać poszczególnych chłopców. Ponieważ oni nie godzili się na te propozycje zaczęto się niecierpliwie wyubązać się mniej więcej taka rozmowa.

- To pocięcie przyjechali jeśli nie chcecie pracować.
- Myśmy nie chcieli, nas zabrano z więzienia i przywieziono tu.
- Więc jak już tu jesteście musicie pracować.
- Chcemy być razem w jednej miejscowości.
- Nie można, bo to gospodarze z różnych stron.

- To odeślijcie nas do Polski.

- Nie możemy.

Rozmowa ta nie wymagała tłumaczeń, bo chłopcy nieśle mówili po niemiecku. Ciągnęłaby się ta bezowocna rozmowa w nieskończoność ale włączył się do niej chudy, ogorzały mężczyzna około 60-let mający. Zbliżył się do mnie i wzięwszy za brodę podniósł twarz do góry.

- Umiesz doić krowy ?

- Nie. -

- W polu pracowałeś ?

- Nie.

Brał ręce moje, oglądał, gniótł w swoich łapach, klepał mnie po twarzy. Dziwił się, że będąc nauczycielką przyjechałam na siłę na roboty. Chłopcy znów tłumaczyli naszej woli w tym nie było, że znaleźliśmy się w tej sytuacji. Po minach zebranych bauerów widać było, że te wyjaśnienia nie dochodzą do ich świadomości. Naradzali się między sobą, co chwilę, któryś oglądał nas, kazał wstać, obrócić się. Wybierał dwóch chłopców lub jednego i chciał odprowadzić na bok, ale oni wracali i znów siadali obok nas pozostałych. Czulałam się niewolnicą wystawioną na sprzedaż. Upokorzenie, nienawiść i niepokój przepełniały moje serce, a łzy do oczu nacierły, które starałam się mieć szeroko otwarte, aby płaczem nie okazać słabości. Chłopcy uspukajali mnie, powtarzając, że nie zostawią mnie samej.

Jakoż ogorzały Niemiec zdecydował się i zabrał nas wszystkich. Pojechaliliśmy pociągami do Garsu nad rzeką Dan. Zapadał już zmierzch, gdy wspinaliśmy się na wysoki brzeg rzeki po niezliczonej ilości schodków.

Bauer, którego przezwaliliśmy "Murzyn", zaprowadził nas do



piwiarni, stojącej na rynku miasteczka. Dowiedzieliśmy się, że Niemiec ten był sołtysem w tej wsi. Na powrót jego czekało kilku gospodarzy i grupka Polaków, którzy przebywali tam na przymusowych robotach.

Była to niedziedzia, więc wszyscy wystrojeni byli odświętnie. Zwróciło moją uwagę to, że każdy miał na lewej klapie marynarki przypiętą sztykawkę. Wszystkie sztykawkę miały ten sam kształt, a wszystkie były tego samego koloru, liliowo-żółty znak "P". Obowiązkiem było gospodarstwa wiejskiego mieć w swoim domu sztykawkę, dlatego też ziemia zajmuje jednolity obszar, a zabudowa-

Przybliżyła się do mnie duża, mocna, dobrze rozwinięta, rozsmiata dziewczyna lat około 18 w kwiecistej sukni i pochwaliła się, że ona nie musi nosić "P", to jest nagroda za dobrą pracę. Zapytałam jak długo tu przebywa i jak się czuje. Odpowiedziała, że pracuje tu od wczesnej wiosny, już umie mówić po bawarsku i jest jej tu wesoło. Zwróciłam uwagę, że dobrze wygląda. -

- "Ja już schudłam, a byłam jak piec. Ty też się przyswyczasz i też taka będziesz. - "tykała" mnie choć zwracałam się do niej "pani".

Tymczasem "Murzyn" rozmawiał z gospodarzami posyłając co chwila po innych Niemców. W ten sposób udało mu się umieścić dwóch najzamożniejszych braci w męskim klasztorze w *Garsie* Heaka u właściciela miejskiego browaru, Janka wziął do siebie. Andrzeja i Jurka zabrali dwaj bauerzy. Tylko na Karola i na mnie nie było reflektantów.

Sołtys więc postanowił chodzić z nami od domu do domu i proponować nas jako robotników.

W Bawarii gospodarstwa nie mogą być dzielone między spadkobierców, dlatego też ziemia zajmuje jednolity obszar, a zabudowa-

nia leżą w środku majątku, skutkiem tego wieś jest rozrzucana na kilku wzgórzach, a odległość od domu do domu wynosi często ponad kilometr.

Przez cały czas koło "Murzyna" kręcił się wysoki dwudziestokilkuletni Polak kłusawy, o krótkich zębach, małych oczkach i głupim uśmiechu - to Anton. On to ofiarował się chodzić z nami, aby być tłumaczem. Zaproponował też sołtysowi, żeby zaprowadził mnie do jego gospodarstwa.

Zapadł już zmierzch, kiedy pedesaliśmy do najzamożniejszego bauera Schachnera. Dom i budynki gospodarcze ustawione były w czworobok tworząc duże, zamknięte podwórze, z którego wchodziło się do mieszkania. Weszliśmy do izby. Po krótkiej rozmowie Niemców, opuściliśmy dom. Odprawiono nas z niczym, Schachner poza żoną miał 3 siostry, które pracowały u niego. Powędrowaliśmy dalej.

W następnym, ubogim domu nie chciano ani Karola ani mnie. Dalej przyjęto sołtysa piwem przy stole, a my siedzieliśmy na ławce przy drzwiach. Po pewnym czasie okazało się że i mój ostatni opiekun znalazł "dom". Wtedy właśnie przybiegł Anton z wieścią, że jego gospodarz zgodził się przyjąć mnie. Zawróciliśmy więc. Zaczął kropić deszcz, było zupełnie ciemno. Szłam zmęczona, zgnębiona i nieszczęśliwa, między nieznanymi ludźmi, na spotkanie nieznanego jutra.

Potoczyła się taka rozmowa, oczywiście za pośrednictwem Antona.

- On się pyta, czy ty naprawdę jesteś nauczycielką.

- Naprawdę.

- On się pyta, czy umiesz doić krowy.

- Nie,

- On się pyta, czy z miasta.

- Tak.



- On mówi, że będzie ci dobrze.
- Powiedz /ja też zaczęłam mówić Antonowi ty/ że mnie tu na pewno dobrze nie będzie.
- On się pyta, czy zostaniesz jego żoną, jak umrze jego stara.
- Nie, bo mam męża. Za Niemca na pewno nie wyszłabym.
- On mówi, że "garda" jesteś.

Już nie rozmawiałam, bo czułam się bardzo nieszczęśliwa, płakałam więc cichutko, a leż moich oni nie widzieli.

W domu gospodarz, tym razem, częstował "Murzyna" piwem, a mnie dał butelkę lemoniady.

Kazano mi iść na górę, tam miałam czysto posłane łóżko. Pokój był mały, wąski. Stały tylko 3 łóżka i 3 szafy. Mieszkały tam dwie młodsze siostry gospodarza: Lisa czarna, słośliwa i starsza niece Anna, cicha, łagodna. Najstarsza Maria, chuda, ruchliwa, apodyktyczna mieszkała sama w innym budynku. Tak oto od tego momentu miałam przyczynić się do pomnażania bogactwa Niemiec i do ich zwycięstwa.

J a

Moją pierwszą pracą następnego dnia po śniadaniu było ... pranie. Pamiętam tę czynność i moment, gdy mnie dziewczyny powiodły ze sobą do pralni. Muszę zaznaczyć, że nigdy nie lubiłam tej czynności. Nawet drobne osobiste moje przedmioty prała siostra, chętnie wyręczając mnie w tym. Gdy po kapitulacji pomagałam mamie prać, bo nie można było nająć kobiety, pochylałam się nad tarą i szlozcząc się na Niemców, że zmusili mnie do tej pracy, obiecywałam sobie w przyszłości bodaj nie jesć przez 2-3 dni, ale zapłacić kobiecie za pranie. Matka mi wtedy odrzekła: - Życzę ci z całego



serca, abyś nigdy nie musiała tak ciężko pracować, ale w życiu różnie się zdarza i trzeba być przygotowanym na ciosy. Teras przypomniały mi się te słowa w całej swej tragicznej prawdzie, bo oto piorę łachy niemieckie. Deszcz padał i ściekał po szybach a mnie wydawało się, że to ja wypłakuję siebie.

Nie chciałam dziewczynom pokazać swego stanu, więc patrzyłam na pochylony stół, na którym rozpościerało się sztuki bielizny, następnie szciotką tarło się raz przy razie, od czasu do czasu pocierając kawałkiem mydła /ale oszczędnie ! /. Nie wychodziła mi ta robota, bo często prany kawałek marszczył się w harmonijkę i trzeba było znów go rozpościerać. Dziewczęta zerkwały na moją stronę, każda usiłowała tłumaczyć, jak należy prać, jak nazywają się otaczające przedmioty.

Po obiedzie rozpogodziło się, więc pilnowałam suszącej się za domem bielizny. Dziewczyny poszły w pole.

Tak więc rozpoczęły się moje długie, beznadziejne dni, w których musiałam wysługiwać się Niemcom.

Do moich obowiązków należało: sprzątnięcie starej i podłożenie nowej słomy dla 8 jałówek zajmujących połowę obory. Gnoj trzeba było wywieźć za budynki na ocementowanejowisko. Potem sjadałam śniadanie w kuchni i zmywałam po wszystkich naczynia. Pracujący w polu jedli śniadanie wcześniej. Sprzątałam izbę jadalną, zamiatałam sieć, pełłam w ogródku przy domu, cerowałam. O dwunastej siadano do obiadu, nakrywałam więc do 2 stołów. Przy mniejszym koło drzwi zasiadał "gros fater", gospodarz, jego żona, 2 synów /10 i 8 lat/ oraz najstarsza siostra gospodarza Maria. W głębi izby w rogu stał kwadratowy stół przy którym jadali: Lisa, Anna, Anton, parobek - Niemiec i ja. Na środku stawało się żelazny



trójnog, na którym była szeroka, blaszana miska z cienutkim "rosołem" na beczku i bułkami /plackami/ gotowanymi na parze, pod trójnogiem ustawiało się w małych salaterkach, sałatę, ziemniaczki i jakąś jarzynę. Każdy miał "swój" głęboki talerz, swój nóż, łyżkę i deseczkę do krojenia na niej chleba. Na każdy talerz kładło się po kawałku gotowanego beczku, mężczyznom więcej i tłuszczejszego, a kobietom mniej /robiła to gospodyni/. Resztę każdy brał ile chciał. Gospodarze mieli mięso i lepsze jarzyny. Dziadek natomiast spożywał pieczone gołąbki, kurczaki, którymi obdzielał wnuków. Obiad zaczynał się krótką modlitwą i przebiegał w ciszy i skupieniu.

Po posiłku wszyscy biegli do swoich zajęć, a ja zmywałam naczynia. Potem jechałam z wózkiem po piwo do wiejskiej piwiarni. Brało się zazwyczaj dobre piwo w małych butelkach dla gospodarzy i w większych tanie dla dziewczyn i parobków. Podawało się je na podwieczorek w wielkich glinianych kufiach. Pili to piwo wraz z resztkami mięsa z obiadu i chlebem. Nie znosiłam tych podwieczorków pełnych mlaskania, śmiechów i ożywienia. Przebywałam w kuchni pijąc odciągane mleko i piskąc co dzień kartkę do Polski. Potem znów sprzątałam ze stołu, myłam kufie i ustawiałam je na półce w małym pomieszczeniu, gdzie stała wirówka do mleka.

Był okres, gdy byłam bardzo słaba. Wtedy nawet te obowiązki były dla mnie zbyt wielkim ciężarem. Kiedyś, w jakiś niewytłumaczalny dla mnie sposób, palce zahaczone o ucha kufli otworzyły się ... i ze sz zdumieniem ujrzałam skorupę na posadzce. Powtarzało po tym wypadku: "Tak nienawidzi Niemców, że tłucze wszystko u swego bauera". A właściwie poza tymi kufiami stłukłam tylko jeden talerz.



W sobotę miałam dodatkowy obowiązek wyszerowania schodów prowadzących do pokoiku, gdzie spałam z Lisą i Anną oraz umycia długiej, szerokiej sieni, przecinającej cały dom. Podłoga była z kafelków, którą należało czyścić wilgotnymi trocinami zamiatając je brzosową miotłą. Praca ta była dość trudna i ciężka.

Kiedyś myśląc, że słabość moja spowodowana jest brakiem ruchu na słońcu i powietrza wyraziłam ochotę pójścia na pole po śniadaniu. Wszyscy wyraźnie ucieszyli się. Dobrano mi najniejsze i najlżejsze grabie, które zarsuciałam sobie na ramię poszłam z wszystkimi do siana. Grabiłam oczywiście wolniej, tak że każdy mnie prześcigał. Tempo było tak duże, że nie sposób było odetchnąć. Przechodziliśmy z łąki od siana, na pole gdzie maszyła się na kółkach koni czyna, którą trzeba było przewrócić. Pracowaliśmy do wieczora. Musiałam potem sprzątnąć oborę, a gdy położyłam się do łóżka ramiona mnie tak bolały, że nie mogłam spać w nocy. To też, gdy rano wołano mnie znów w pole, udało mi się nie słyszeć tych głosów dochodzących z dołu.

Przypominałam sobie jak "pracował" poznany w czasie drogi "warszawski cwaniak". Podobno nie wstawał rano do roboty, a gdy go budzono wpadał w szal i wyrzucał z pokoju meble i pościel, rzekomo pod wpływem nagłego obudzenia. Bano się go, więc robił co chciał. Ja nie awanturowałam się, ale postanowiłam "mocno spać" z przemieszczenia, aby zniechęcić ich do zapraszania mnie na roboty w pole.

W taki więc sposób rozpoczęłam i prędko skończyłam tę pracę.

Moje obowiązki ograniczyły się właściwie do pracy w domu. Gospodyni, która nigdy nie wychodziła w pole, a najczęściej przebywała w swoim pokoju /do którego nawet nie sajrzałam ani razu/ lub przygotowywała posiłki dla wszystkich, postarała się, abym nie siedziała bezczynnie. Gdy kiedyś zauważyła, że piszę list



siedząc przy oknie, zdjęła ręcznik z gwoźdźca i kazała go uprać, zanim zaczął nakrywać do stołu. Od tego czasu starałam się przedłużać każdą czynność, aby po skończeniu zabrać się do wykonywania następnych.

Cerowanie bieliżny było moim najmilszym zajęciem. Zawsze w czasie prania starałam się tak mocno trzeć szczotką ałabe miejsca tkaniny, aby powstało rozdarcie. Gdy bieliżna wyschła odkładałam ją na bok, aby potem siedząc przy oknie wolniutko i starannie ją cerować. Gospodyni potem pilnie sprawdzała, aby wśród tych naprawianych sztuk nie znalazły się przypadkiem rzeczy dziewcząt. Ta moja praca znalazła widać uznanie, bo w okolicy powtarzano "ta harda Polka pięknie ceruje". Kiedyś dokończyłam kolorowy haft na fartuchu gospodyni. Podsunęła mi więc następnym razem nowy, który też osobiłam. W takich wypadkach gospodyni sprzątała za mnie naczynia, gdy wszyscy wychodzili w pole. Nie rozmawialiśmy ze sobą, nawet nie uśmiechałyśmy się do siebie, ale odtąd czułam, że ta Niemka była dla mnie życzliwa. Gdy skończyłam kolorowe hafty, zabitałam się do białego "richeulieu". Narysowałam sama wzór /irysy wodne/ na biały poszewki i ślicztałam nad tym całym dniami.

#### Najmilszy spacer na wschód

Najmilszym momentem dnia był wieczór, gdy po oporządzeniu moich cieląt i zmyciu naczyń po kolacji spotykałam się z chłopcami. Wtedy wychodziliśmy poza obręb zabudowań i idąc wśród pól, dzieliliśmy się spostrzeżeniami ze swego nowego życia. Opowiadając o tym jak nakrywam do stołu i co jadamy, myślałam, że wzbudzę sensację wśród słuchaczy. Okazało się jednak, że wszyscy jedzą



buły gotowane na parze, wszyscy dostają beczek, wszyscy otrzymują deseczki do krajania chleba. Jadłospis dla całej Bawarii był ten sam. Nawet witaminka w postaci szczypiorku czy listka sałaty przewidziano i nie było od tego odstępstwa, bo tak nakazywał Hitler.

Ryśiek i Jurek jadaliby z braciškami zakonnymi w refektarzu skromniej niż ja. Inni chłopcy też mieli biedniejsze posiłki. Dowiedzieliśmy się z czasem, że mój gospodarz był najbogatszy. Janek krytykował sołtysa, gdzie nie było porządku ani w domu ani w gospodarstwie.

Potem opowiadaliśmy o swych najbliższych, o Warszawie, poznawaliśmy się... Przynosiłam wszystkim chłopcom sółto-fioletowe "P", symbol naszej Ojczyzny, który nosiliśmy zawsze dumnie i otwarcie.

Miło było wędrować na wschód i mówić po polsku, nie słyszeć wrogiego języka. Gdy zmierzach zapadał, trzeba było wracać do domu, bo chłopcy mieszkali dość daleko.

Po 2-3 tygodniach wiazy te nagle się urwały. Spotkawszy się w niedzielę na mszy w kościele, dowiedziałam się, że sołtys w porozumieniu z żandarmami zabronił nam kontaktować się ze sobą w powszedni dzień. Pozostały więc tylko niedziele: w Garsie na mszy przed południem i po obiedzie do kolacji na spacerze.

Rano, gdy chłopcy ze mną wstępowali do sklepu aby kupić /maleńką jak pudełko zapalek/ wodę koleńską i 10 kart pocztowych, co stanowiło cały mój tygodniowy zarobek, byliśmy stale przedmiotem obserwacji ze strony miejscowej ludności.

Krążyła bowiem pogłoska, że my zostaliśmy schwyatni w partyzantce. /!!!/ Zaczęło się to od momentu, gdy lekarz miejscowy



/na polecenie chyba władz wyższych/ musiał nas zbadać i prześwietlić. Stawiliśmy się jednocześnie na wezwanie do jego gabinetu. Ponieważ nie znam języka niemieckiego zawsze prosiłam któregoś z chłopców o tłumaczenie. Tak też było i u lekarza, który zapytał o bliznę na udzie. Wyjaśniłam, że odłamek bomby ugodził mnie w 1939 r. gdy przebywałam w domu. Lekarz zdziwił się i kazał sobie powtórzyć, czy na pewno byłam wtedy w Warszawie, w domu. Im mówiono, że miast się nie bombarduje. Tegoż dnia prześwietlenie wykazało, że Heniek ma kulkę w szyi /w dzieciństwie bawił się jakąś strzelbą, kuli nie usunięto, tkwiła więc w mięśniach i nie przedkładała mi/. Karol zaś ma zaawansowaną gruźlicę.

Nie rozszałyby się te wiadomości po okolicy, gdyby nie asystowała lekarzowi młoda pielęgniarka, która postarała się, aby rozdmuchano te "tajemnice". Ułożono więc całkiem ciekawą bajeczkę: Wszyscy byliśmy partyzantami w lesie, walczyliśmy z Niemcami czego dowodem są blizny, kule w ciele i gruźlica płuc. Ja byłam przywódcą tej grupy, co dotąd jest widoczne, bo chłopcy stale otaczają mnie szacunkiem, przynoszą mi co piękniejsze owoce, z nikim więcej się nie przyjaźnią. Zostaliśmy schwymani i odesłani na roboty, aby odechciało nam się wojaczki.

Dowiedzieliśmy się o tym z urywanych wypowiedzi i zapytań różnych ludzi. Po pewnym czasie przekonaliśmy się o tym sami, co opowiedział nam to żandarm, który wołał nas pewnego wieczoru, aby zebrać od nas odciski palców.

Fakt ten był powodem wielu wesołości, gdy komentowaliśmy go siedząc na małej polance w lesie. Było to ulubione nasze miejsce, położone z dala od domów i od drogi, gdzie spotykaliśmy się w niedzielne poobiedzia i mogliśmy się śmiać, śpiewać i mówić o



czym tylko chcemy. Krótkie to były chwile, bo trzeba było wracać na kolację i do obowiązków codziennych, ale może dlatego staraliśmy się je wypełnić beztroską rozmową. Wtedy pozbywałam się codziennej, surowej maski, byłam wśród życzliwych mi osób. Już mniej nas było, bo Karola jako chorego odesłano do Polski.

Po pewnym czasie uciekł Jurek. Podejrzewam, że jego gospodarz wiedział o tym zamiarze, ponieważ praca jego nie dawała pożądaných rezultatów, oszczędniej i lepiej było, gdy pomocnik znikł. Jurek znał język niemiecki i po tygodniu przysłał list, w którym donosił: "grzeję nogi o kaloryfer, pisząc list na oknie, a jakaś troskliwa ręka podsunęła mi słodycze na spodeczku"... ach jakże mi zazdrościłam...

Tymczasem po okolicy rozszalały się wieści, że uciekiniera żandarmi złapali i osadzili w więzieniu. Śmieliśmy się szczerze z tych plotek a sercem byli w kraju.

Dale stawały się krótsze, zinniejsze i dżdżyste nasze spotkania ograniczały się do widzenia w kościele i godzinnego spaceru przed obiadem. Kiedyś "Murzyn" powiedział Jankowi, aby zaprosił nas do jego domu po południu. Nie bardzo chcieliśmy, bo nie lubiliśmy sołtysa, ale Janek jak zawsze, wytaczał niezbity argument "chcecie żeby on zatruł mi każdy dzień wymyślając od świa polskich, podstępnych partyzantów, itp... Zgodziliśmy się.

Była to izba penury, otoczona wokół drewnianymi ławami, okienka mało wpuszczały światła, nie było tam żadnej ozdoby w postaci serwetki czy kwiatka. Na domiar złego sołtys siedział w jednym rogu i niby czytał gazetę, a wciąż rzucał w naszą stronę: "No rozmawiajcie"... "Dlaczego nie śmiejecie się ... Pośpiewajcie sobie"... Co pewien czas ktoś z nas coś powiedział, to on zaraz kazał Jankowi tłumaczyć. Żalił się, że nic nie może zrozumieć, co



my mówimy. Wreszcie poszedł na górę. Po pewnym czasie rozkazał, abyśmy pojedynczo wchodzili do niego na rozmowę. Pierwszy poszedł Rysz. Następnie wezwał mnie, oczywiście towarzyszył mi Janek jako tłumacz.

Murzyn pyta: Czy nauczyłaś się mówić po niemiecku ?

Jurek tłumaczy:

Ja - Nie.

Murzyn - Dlaczego ? Inne dziewczyny prędko nauczyły się.

Janek tłumaczy.

Ja - Uczyłabym się, gdyby to był język literacki, a to brzydka gwara bawarska.

Janek tłumaczy.

Murzyn: Pokaż bliźnię po bombie.

Janek tłumaczy.

Podnoszę trochę spódnicę.

Murzyn - wyżej.

Janek tłumaczy.

Podniosłam wyżej z wściekłością i wypadłam z pokoju.

Sołtyś już z nikim nie rozmawiał.

Wyszliśmy z tego zatęchłego domu i idąc na wschód do mego bauera rozmawialiśmy nareszcie swobodnie i wesoło śmieli się z Murzyna-filozofa.

Więcej nas nie zapraszał. Janek wresztą też uciekł - po nim Andrzej, bo była jesień i praca na polu coraz mniej.

Wydaje mi się, że bauerzy nie byli zadowoleni z nas jako pomocy w gospodarstwie, dlatego nie robili hałasu po zniknięciu kadego z chłopców.

Anton

Największą moją zgorą, poza tęsknotą za krajem, był ten ciemny, zły człowiek. Nie wiem, na jakiej podstawie ubadurzył w swej ciasnej głowie, że znajdzie we mnie towarzyszkę "do leśnych spacerów". Spotykaliśmy się właściwie tylko przy stole w czasie obiadu, bo nawet śniadania kolacje i podwieczorki jadałam później sama. Po miesiącu, gdy gospodarz kazał mi siadać do obiadu przy swoim stole, nawet krótkie słowa nie padały między nami. On zresztą nie umiał zrozumieć pełnego rozwiniętego zdania. Wytrzeszczał oczy i pytał: "Po jakiemu ty mówisz?" Nie miałam ambicji uczyć go mowy ojczystej ani starać się rozmawiać zrozumiałym dla niego językiem. On zaś rozwinał wszystkie swoje zdolności, aby mi zatruć każdy dzień.

O niespełnionych jego nadziejach dowiedziałam się od chłopców. Najpierw chwalił się, że byłam z nim w lesie. Chłopcy wyśmiali go.

Wszedł w konszachty z Liza, która zaczęła przewracać w moich skromnych rzeczach i wyciągnęła na wierzch pamiętnik. Potem sołtysowi naopowiadał, że piszę jakieś notatki o Niemcach. Przyszedł więc żandarm i zrobił rewizję - ja pamiętnik podarłam przedtem, bo Janek uprzedził mnie o tej wizycie. Poskarżyłam się chłopcom, że boję się wieczorem nawet przejść przez podwórze, bo wydaje mi się że Anton widział mnie przebodnie. Po kilku dniach Anton, który często włóczył się wieczorami po okolicy, powiedział do mnie: powiedzieli "Chłopaki ~~przekładają~~, że mi mordę zbiją, jak będę ciebie zaczepiał." Nie zaprzestał jednak dokuczać mi. Kiedyś wieczorem szukałam taczek, aby wywieźć brudną słomę spod cieląt. Liza śmiała się i wruszyła ramionami, Anna spojrzała tylko smutno /obie



1/3-20

dzięki krowy/. Na zwykłym miejscu ich nie było. Znalazłam je daleko za domem. Gdy drugi raz to zrobił, oszajmiałam, że nie wymięnę gnoju, zgarnęłam na małe kupki i poszłam do łazienki myć się. Rano stwierdziłam, że uprzątnięte gatós. Była to ciężka praca, bo taczki były z grubych desek, mocno przesiąknięte wilgocią. Nigdy nie ładowałam pełno, jak Liza, która była silna i mocno zaparkszy się nogami równo pchała przed sobą ten ciężar. Ja nakładałam małe porcje i obracałam kilkakrotnie. Nie spieszyło mi się. Potem długo myłam się w łazience. Był czas, że zmęczona oblewałam się zimną wodą, aby nasiągnąć się, dostać temperatury i pochorować trochę. Niestety tylko zahartowałam się.

Tymczasem Anton wpadł na nowy pomysł. Na gnojowisku należało układać nawóz dokładnie każdą porcję jedną obok drugiej. W głąb gnojowiska "jechało się" kółkiem taczki ułożonymi deskami. Otóż mój prześladowca sprzątnąwszy swoją stajnię, nie przełożył desek na nowe miejsce, zostawił to dla mnie, o czym, przechodząc, powiadomił mnie.

Nigdy tego nie robiłam i nie miałam zamiaru przerzucić tych brudnych, ciężkich desek. Znałam już "technikę" układania nawozu i wiedziałam, że już należałoby je przesunąć. Poradziłam sobie inaczej: pojechałam do końca i roztrzaskałam zawartość taczek po całym gnojowisku. Anton był wściekły i odgrażał się, że "pokaże mi jeszcze". Chłopcy go nie sbili, więc bezkarnie znęcał się nademną. Poradziła<sup>m</sup> więc sobie sama. Powiedziałam mu wtedy:

Wiesz Anton, mało masz już włosów na głowie, ale pamiętaj będę się modliła, żeby ci wszystkie wyszły z głowy. Pamiętaj, gdy sobaczysz na swoim grzbiecie<sup>nii</sup> włos, to znaczy Matka Boska mnie wysłuchała, to za moją krzywdę, wypadają ci włosy. A pamiętaj ja mam dużo czasu i dużo się modlę".



Stał z rozwartymi ustami i pilnie słuchał nie dowierzając mi. Widać jednak to trafiło do niego, bo już nigdy mi nie dekuczał. Poskarżył na mnie do chłopców: "Ona mówi, że modli się, żebym ożył". Śmieliśmy się potem wszyscy. Pewnego dnia pomagałam Marii nieść jakąś nasioną do pomieszczenia obok jej pokoju. Anton otworzył drzwi swej izby pod schodami i chwalił się urządzeniem. "Przebież tu braydke i ciasno" - mówię. A on: "Mnie tu dobrze. Kh abym się wysoł i najed".

Kiedyś w czasie obiadu zaczął opowiadać jakie to u nas w Polsce błoto na wsi, nie ma światła elektrycznego, a chaty kryte słomą. To był czas, gdy zrozumiałam co się mówi wokół, ale nigdy nie mówiłam po bawarsku. Dziewczyny i parobek zaczęli śmiać się, a Anton rad, że bawi wszystkich, opowiadał dalej.

Siedziałam przy stole z gospodarzami, odwróciłam kark w tamtą stronę głowę i powiedziałam: "Życzę ci, abyś pozostał tutaj ze światłem w stajni i na suchych drogach. Nie wart jesteś, aby kiedyś wrócić do swej wsi. Nie wstydzisz się pluć w swoje gniazdo?". Mówiłam wolno i wyraźnie, aby on zrozumiał. Zrobiło się cicho w całym pomieszczeniu. Pytali go, co ja powiedziałam, ale on nie odpowiedział ani słowem. Zamilkł i już nigdy przy mnie źle o kraju nie mówił.

W swojej naiwności powtórzył to chłopcom dodając: "Ona mówi, że ja nie wrócę do swojej wsi". Widać przejął się.

Następne wydarzenia utwierdziły mnie w tym mniemaniu. Był listopad: dnie krótkie, prac w pola nie ma, a więc i najemnicy rolni niepotrzebni. Zaczęto więc zwalniać, zwłaszcza kilkunastoletnich chłopców. Kiedyś Anton poszedł w niedzielę odprowadzać na dworzec swoich znajomych, którzy wracali do Polski. Wyszedł z domu w niedzielę rano, na noc nie przyszedł, rano się nie zjawił. Gdy



poniedziałek kończył się, gospodarz pytał mnie, czy on przypadkiem nie uciekł? może ja wiem, co się z nim dzieje? Nie mogłam na to nie konkretnego odpowiedzieć, bo sama nie wiedziałam. Po 3 dniach Anton wrócił pijany: podobno żegnał kolegów odjeżdżających. Chorował przez następny dzień, a potem chodził jak struty.

Chwalił się, że teraz on odjedzie, że na pewno przyjdzie dla niego zwolnienie.

Rozwiałam jego złudzenia: "Ciebiebauer nie puści, bo ty jesteś dobry parobek, dużo robisz, a kto by konie czyścił... to ja wkrótce pojedę do Polski"...

O n i

Wiem, że przebywając wśród nich, nie zrobiłam najmniejszego kroku, aby mnie polubili, aby zbliżyć się do kogoś z nich, aby nauczyć się ich języka. Wykonywałam swe czynności automatycznie z maską obojętności na twarzy. Wiem, że denerwowało ich to, że nie mogą mówić do mnie. Kiedyś gospodarz, wyjeżdżając na pole, chciał coś mi przekazać przez Antona. Mówił do niego długo, a ten w dwa słowa mi przetłumaczył i też poszedł. Po południubauer stanął nade mną i zaczął wrzeszczeć, machać rękami, a gdy na moment przestał, powiedziałam mu spokojnie po niemiecku "nie rozumien". Zachłysnął się złością, machnął ręką, odwrócił się i poszedł. Nie odzywał się już potem do mnie nigdy. Ale to on zarządził, abym jadła przy ich stole. On był postrachem wszystkich demowników. Nawet żona patrzyła z niepokojem w jego twarz. Przy stole on pierwszy nabierał sobie na talerz. Gdy to stwierdziłam, zaczęłam uprzedzać go podsuwając półmisek w stronę gospodyni, potem w stronę Marii. One patrzyły na te moje manewry z obawą, ale on skinieniem głowy pozwolił. Potem mnie podawał salaterki. Działo się to bez jednego słowa, ale stało się swyczajem.

Nie mogłam nauczyć, aby przepuszczał pierwszą żonę przez drzwi. Nie udało się nawet wówczas, gdy szła z wielkim koszem bielizny. Omijał ją i wychodził. Sam wypłacał mi uroczyście 3 marki jako tygodniową zapłatę. Widać o tej niskiej płacy wiedzieli okoliczni gospodarze, bo właściciel cegielni kręcił się często koło domu,



usiłując namówić mnie, abym przeszła do niego. Kusił lepszą pracą i większym zarobkiem. Ja nieodmiennie odpowiadałam: "Nie rozumiem".

Częste wizyty składał mi też sołtys. Widać było, że to kiepski gospodarz skoro nawet w okresie żniw miał czas włóczyć się po kłku polu Schachnera. Przechodził pod oknem, gdzie siedziałam cerując bieliznę. Czasami nawet udawałam, że nie dostrzegam go. Wtedy Janek opowiadał jak "Murzyn" wróciwszy do domu krzyczał na niego, przerywał, dawał dodatkową pracę i uśalał się, że nawet na się nie odkłoniłam. Staralam się potem zawsze zauważyć, a nawet uśmiechnąć. Janek odczuwał to jako odpoczynek w pracy, bo gospodarz jego długo zdawał relację ze swoich przeżyć, przerywali wówczas robotę, a często szli do domu na piwo.

Przekonałam się o "pracowitości" Niemek. Rzeczywiście stale coś robią: jeżeli pada deszcz, w polu nie można pracować, urządzają pranie, jeżeli tego nie ma, sprzątają. Ale widziałam jak Liza myła jedne drzwi od obiadu do podwieczorku, zmieniając wodę i szmatki, trwało to około trzech godzin. Miały jedną zasadę: nie siedziały bezczynnie, nic nie czytały i mnie na to nie pozwoliły, wtykając do ręki szesotkę czy ściereczkę.

W okresie kopania kartofli jest tam taki zwyczaj, że sąsiedzi pomagają podbierać ziemniaki za maszyną. Gdy wyznaczono u nas taki dzień zaczęło się wielkie przygotowanie: zarżnięto kilka gęsi, namoszono naczynia, ustawiono kilka dodatkowych stołów. Ludzi po śniadaniu naszło chyba ze 20 osób /podobno było chętnych bardzo dużo/. Mnie nie kazano iść w pole, ustrojono w piękne nowe fartuchy /każda Niemka nosi 3: bezrękawnik, fartuch na szelki i do pasa/. Pomagałam gospodyni nakryć do stołu. Gdy wszyscy przyszedli na obiad i porozsiadali się na wskazanych miejscach gospodarz kazał mi usiąść, jak zwykle przy ich stole, a siostry jego podawały. "Gośćmi" były przeważnie kobiety, które szeptały między sobą i wciąż mnie obserwowały. Żle na tym wyszły, bo Maria dała znak Annie i Lizie, aby sprzątały ze stołów. Nie tylko ja byłam zaskoczona tak krótkim obiadem, ale smacznie niezadowolona przesyedzi wśród biesiadników, którzy poczuli śpiesznie dojadać to co było na talerzu, bo niestety dobrać z półmiska nie można było, gdyż mięsiwo powędrowało do spiżarni. Gospodarz wstał, dając sygnał do wyruszenia w pole. Na podwieczorek stawiała się już połowa kobiet, którym podano lepsze



piwo, lemoniadę i ciasto drożdżowe.

Więcej takiej gromady osób nie widziałam w tym domu. Choć na krótko przydzielono jeńca francuskiego, aby zastąpił niemieckiego parobka, który poszedł na ćwiczenia wojskowe. Pozostawili go, choć wyglądał mocno i zdrowo, ale nie miał dwu palców u prawej ręki. Podobno sam się postarał, aby je stracić, żeby wywinąć się od wojażki. Gospodarz go specjalnie wyróżniał i razem w polu pracowali.

Synowie bauera w czasie wakacji przebywali gdzieś na obozie, a po powrocie, zanim poszli do szkoły, wzięli się po gospodarstwie. Nigdy nie widziałam ich zajętych pracą. Czasami spełniali drobne usługi na polecenie dziadka. Na jesieni chodzili do szkoły w Garsie, było to dość daleko, ale oni posługiwali się rowerami.

Chodząc w niedzielę do kościoła zwracałam uwagę na mijające mnie kobiety. Otóż bardzo wiele z nich miało ogromne wola na szyi. Niektóre musiały je nosić w siatce wiązanej na karku. Podobno klimat Górnej Bawarii sprzyjał rozwojowi tej choroby. Nie współczułam im, bo były skłóliwie i rozmawiały o mnie różne plotki. Miłą dla mnie była właścicielka sklepu, u której kupowałam kartki i wodę kolońską. Kiedyś ukradkiem wsunęła w rękę małego Rysia czekoladkę dla mnie. Stary to był przysmak, bo białym nalotem pokryty, ale serce okazała i to w delikatny sposób. Współczuł mi też lekarz, poważny starszy pan. Kiedyś powiedział, że ja nigdy tam nie będę czuła się zdrowo, bo tęsknota mnie gnębi.

#### Nareszcie..... do domu

W ostatnią niedzielę listopada poszłam, jak zawsze, do Garsu na mszę. Po nabożeństwie wstąpiliśmy z chłopcami do sklepu, a stamtąd skierowali się na drogę wiodącą w stronę "meego" domu. Minął nas jakiś chłopiec na rowerze i po niemiecku coś krzyknął. Nie zrozumieliśmy dokładnie, ale wydało nam się, że coś mówił o wyjeździe. Chłopcy zawrócili do klasztoru, a ja poszłam dalej sama.

Zanim otworzyłam drzwi do sieni, wychyliła się skądś Anna i oznajmiła, że jadę do domu. Nie mogłam uwierzyć, wpadłam do kuch-



ni i zaczęłam tarmosić gospodynię, dopytując się czy to prawda /po bawarsku/. Odesłała mnie do banera, który siedział w isbie i wyraźnie czekał na mnie, aby mi oznajmić, że 1.XII.1940 r. mam stąd wyjechać. Spojrzałam na papier... rzeczywiście tak było napisane.

Osiabłam ze szczęścia, wyszłam do sieni i oparłszy się plecami o ścianę płakałam. Podszedł do mnie wielki, biały pies położył łapy na ramionach i lizał mnie po twarzy. Głaskałam jego łeb i dzieliłam się swoją radością: "Mero, ja jadę do Polski". Krzątałam się przy nakrywaniu stołu i śpiewać mi się chciało. Przy obiedzie gospodyni wyraziła żal, że chyba nie zdążę skończyć haftu poszewki, ofiarowała się zmywać za mnie naczyńia po posiłkach aby tylko nie odrywała się od tej pracy.

Dnie teraz wlokły mi się straszliwie. Haftując mogłam przemyśleć cały mój pobyt tutaj. Przecież moi najbliżsi w kraju starali się mnie stąd wydestać. Siostra w tajemnicy przed rodzicami zgłosiła się do Arbeitsamtu, aby wymienić się za mnie. Niestety ją zabrali i przywieźli do Dolnej Bawarii, a ja zostałam w Garsie. Kiedyś przysłano prośbę, aby zwolniono mnie ze względu na słaby stan zdrowia. Nawet mnie do lekarza w Wasserburgu i tam doktor nawet nie badając mnie krzychał, że kobiety niemieckie słabsze są i muszą pracować, że jeżeli będę uchylała się od pracy zamkną mnie w więzieniu.

A oto teraz sami mnie zwalnają, to był najszczęśliwszy dzień dla mnie. W przeddzień wyjazdu gospodyni od samego rana zaczęła utyskiwać, że jednak nie zdążę skończyć haftu. Odpowiedziałam jej dobitnie: "Powiedziałam, że skończę, a Polacy słowa dotrzymują". Więcej nie było na ten temat mowy. Ja zaś nie tylko nie podnosiłam się niemal od roboty, ale w dzień wyjazdu wstałam o godzinie trzeciej rano. Skończony haft oddałam przed obiadem.

Anton kręcił się koło mnie i wciąż powtarzał, że i on wkrótce pojedzie do Polski. Tego dnia byłam pojednawczo nastrojona, więc mu poradziłam, aby nie tak bardzo przykładął się do pracy, to wtedy Schachner poszedł się go przedzej.

Po południu spotkałam się z obu chłopcami z klaszteru nary posterunku żandarmerii, gdzie wypełniliśmy jakieś dokumenty. Potem uzbrojony żandarm wyprowadził nas z zaciemnionego miasteczka, a na



pożegnania powiedział: "Z was to żadni robotnicy, ale wiadać, że jesteście dobrymi Polakami. Jak jest was takich więcej, to będziecie mieli swoją Polskę".

Za nami w ciemnej nocy został Gars i bauer Schachner.

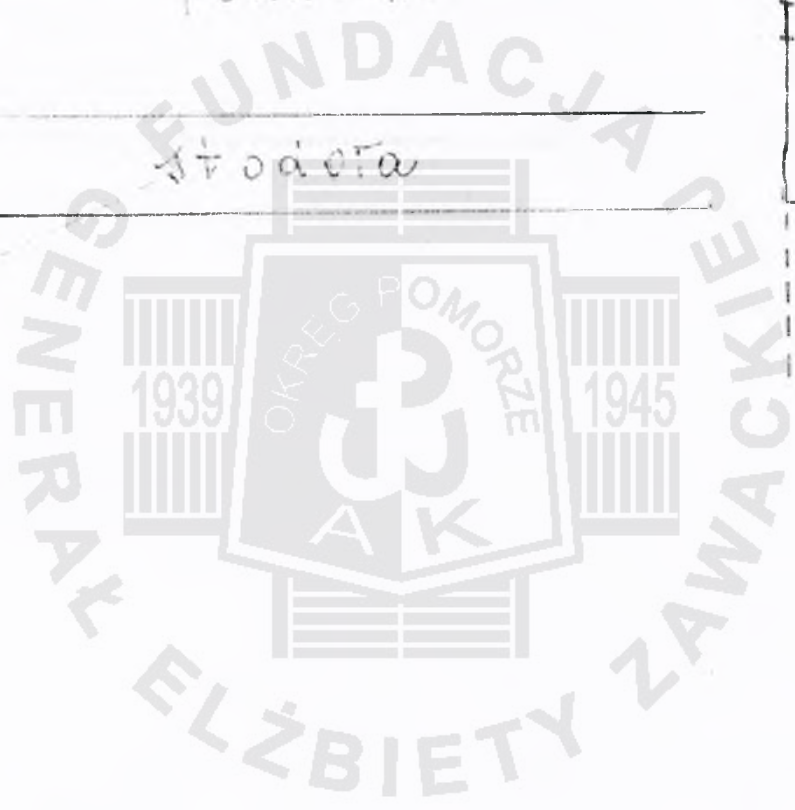
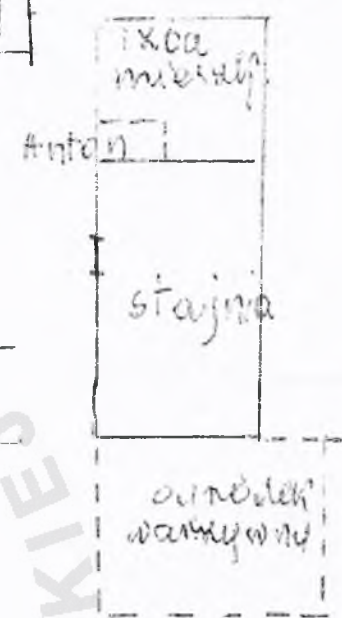
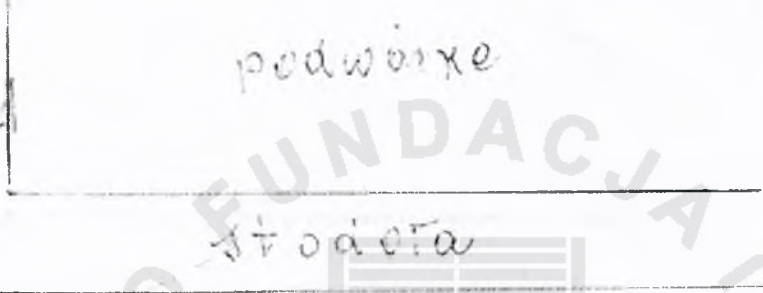
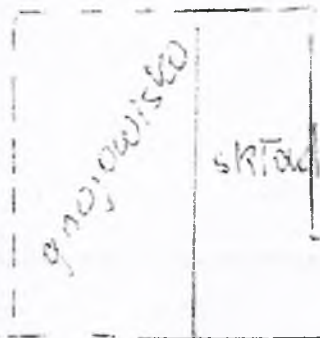
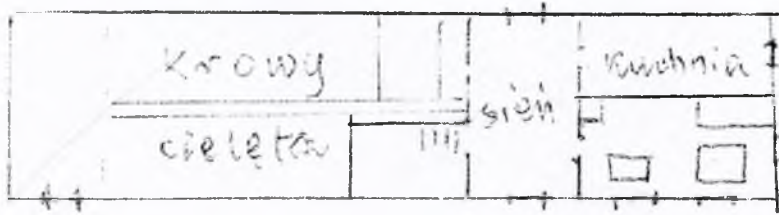
W Wasserburgu dołączyliśmy do dużej grupy Polaków wracających do kraju.

3 grudnia stanęłam w Warszawie na spalonym dworcu Głównym i objawszay złup płakałam ze szczęścia, a ludzie spieszyli objętni nie zdając sobie sprawy jak drogą depczą ziemią.

*Publiściowie Poser*









Fragmenty z mego pamiętnika,

I/3-28

Taj wygłębota moja praca w Delegacie Prace

1942 r. zetknął mnie z Janem Uchmanem, który przyjął ode mnie przysięgę i objaśnił jakie będą moje obowiązki.

W dołączonych odpisach (ksero) moich dokumentów są wymienione moje zadania, nie będę więc ich powtarzać. Nadmienię więc może o różnych przeżyciach, kiedy miałam "duszę na ramieniu".

Pierwsza aparatura mieściła się w dwu pudełkach z jasnej, lekkiej blachy o wymiarach 30-30-5 cm. Do przenoszenia jej używałam dużej, szarej torby lub granatowej (zależnie od mego stroju). Na wierzch wrzucałam kosmetyczkę i kolorową apaszkę, której koniec zawsze wymykał się na zewnątrz. Kiedy nadawano z mego mieszkania wychodziłam na klatkę schodową lub na ulicę, aby sprawdzić, czy nie kręcą się jacyś podejrzeni ludzie. Wiem też, że i „Kowal” rozstawiał chłopców wokół domu.

Kiedys miałam zawieźć torbę na Pragę, na ul. Wiatraczną, gdzie miał ją odebrać ktoś na hasło. Stałam koło BGK na rogu ul. Nowy Świat i Al. Jerozolimskie. Była godz. 15, tłumy ludzi szturmowały każdy nadjeżdżający tramwaj. Próbowalam kilka razy, ale bez rezultatu. Przepuściłam kilka możliwości dostania się na drugą stronę Wisły. Nadjechał znów odpowiedni tramwaj i znów moje wysiłki spęły na niczym. Wtem poczułam, jak ktoś mnie bierze pod rękę. Obejrzałam się, poznałam, był to wysoki, rudy gestapowiec, który odwoził mnie dwukrotnie z Pawiaka na przesłuchanie. Skierował mnie do przedziału przedniego „nur für Deutsche” i pomógł wsiąść. Struchlałam, ale nie mogłam stawiać oporu. Weszłam. Niemiec został na platformie. Przesunęłam się przez przedział niemiecki i wcisnęłam się w gęstą masę Polaków. Obserwowałam z niepokojem jak Niemiec wychylał się na każdym przystanku i patrzył na wysiadających. Na długiej ul. Waszyngtona gdzieś zniknął. Dojechałam szczęśliwie do celu cała oblana potem.

W domu okazało się, że Władek mnie osłaniał. Gdy zobaczył przy mnie Niemca zastanawiał się czy już zacząć strzelać. Potem jako „winogrono” jechał tym samym tramwajem.

Innym razem „Kowal” polecił mi odebranie paczki na dworcu o oznaczonej godzinie na sygnał i hasło. Na zapytanie co mam z tą paczką potem zrobić odpowiedział, że już na miejscu tam dowiem się. Odebrałam, wychodzę na ulicę, a tu podbiega do mnie mężczyzna w roboczym kombinezonie, bierze paczkę i zdąża do rikszy. Dopiero potem poznałam, że to mój brat Władek.

Usiadłam jako pasażerka, a troskliwy przewoźnik okrył mi nogi kocem, pod którym skrył pakunek. Wioząc szeptał mi nad głową, że obawiał się czy nie wywoła awantury, bo czekając na mnie odmawiał innym potencjalnym pasażerom. On znał adres, gdzie trzeba było dostarczyć paczkę.

„Miecio” kiedyś opowiadał, że niósł zwitek depeszy, którą miał nadać. Zatrzymali go żandarmi na ulicy, aby wylegitymować. On upuścił cenny zwitek i nogą wgniół go w błoto. Trzeba było pojechać do „Grabowieckiego” po nowy kod. Ponieważ znałam adres, pojechałam na Saską Kępe. Pani Jadwiga (pierwsza żona) natychmiast napisała na karteczce kilka kolumn czterocyfrowych (a może pięcio- nie pamiętam) i wręczyła mi.

Schowałam zwitek do rękawiczki. Na Marszałkowskiej zatrzymano tramwaj między przystankami. Weszli Niemcy. Niektórym kazali wysiąść, innym sprawdzali dokumenty. Zdjęłam rękawiczkę z prawej ręki wraz ze zwitkiem i wyszukawszy kenkartę podałam. Sprawdził, zasalutował i kazał zostać. Dostarczyłam karteluszek na czas.

Latem wiozłam swój cenny sprzęt na Sadybę do siostry, gdyż tam miało się nadawać. W tramwaju postawiłam torbę obok, nie było tłoku. Naprzeciw mnie usiadł żołnierz niemiecki i wyraźnie mnie kokietował. Nie zwracałam na niego uwagi. Wtedy rozłożył swoje obie ręce na kolanach i uśmiechał się do mnie. Spoglądałam na te łapy: na każdym paluchu po dwa, trzy pierścionki, różnego koloru, różnej wielkości i gatunku.

Zaczęłam zastanawiać się kiedy i gdzie wysiąść. Do domku siostry trzeba było iść przez niezabudowane pola, bałam się czy temu Niemcowi nie przyjdzie do głowy wlec się za mną. Zmieniałam miejsce i on wkrótce wysiadł.

Najsilniej jednak przeżyłam fakt przejazdu mostem Poniatowskiego. Wiozłam ze sobą swoją torbę. Zanim tramwaj wjechał na most został zatrzymany przez żandarmów. Kazali wszystkim nam wysiąść. Po sprawdzeniu dokumentów niektórym pozwolono wrócić do tramwaju, innych zatrzymano koło siebie. Mnie jednej wskazano kierunek na most, na którym nie było ani jednej osoby. Trzymając mocno swój skarb, posuwałam się na przód rozmyślając dlaczego ja tak idę, może chcą strzelić do mnie? W pewnym momencie podbiegł do mnie młody mężczyzna z dwoma dużymi paczkami owiniętymi w biały papier.

- „Proszę pani, proszę wziąć te paczki i zanieść do mojej żony na ul..... i powiedzieć jej, że zostałem zatrzymany na moście. To są gilzy.”



Szedł obok mnie i ustawicznie to powtarzał. Wzięłam jedną paczkę. On kroczył obok. Wciąż mówił... Byłam przygotowana, że za chwilę rozlegnie się salwa z karabinu. „Pewno zaczną od nóg... te paczki takie widoczne... och, jak trudno poruszać nogami... dlaczego one są jak z waty?... wchodzimy na najwyższy punkt mostu... nie obejrzę się, nie chcę widzieć wymierzonych w siebie karabinów... kogo oni chcą zastrzelić? jego czy mnie?... teraz nogi nasze są zakryte, zstępujemy ze wzniesienia... teraz mogą mierzyć w plecy... dlaczego on wciąż mówi? Nareszcie pierwsze zejście w dół... Skręciliśmy... Za osłoną murku siedliśmy na schodkach, objęliśmy się, płakali i śmiali długo i serdecznie. Nigdy więcej nie spotkałam tego młodego człowieka.

Gruchnęła wieść o katastrofie lotniczej, w której zginął gen. Sikorski. Korzystając z aparatu słuchaliśmy radia z Londynu. Następnego dnia Niemcy aresztowali Władka, znaleźli ten aparat, zrobili rewizję. Brata wywieźli do Oświęcimia, gdzie zginął.

Był to dla mnie tak wielki szok, że dostałam bardzo wysokiej gorączki. Mieszkałam sama na ul. Kruczej. Wszystkie aparaty były u mnie. Sąsiedzi, obcy ludzie, trochę zainteresowani młodą kobietą, która stroni od nich, zajmuje piwnicę nie trzymając w niej węgla a jakieś paczki. Obok mieszkała szesnastoletnia Zosia, której pomagałam trochę w lekcjach. Poprosiłam, aby sprawdziła ile stopni mam gorączki. „To jest zły termometr.” Przyniosła swój.. Też wskazywał 41°C. Modliłam się, aby nie stracić przytomności. Zosia siedziała przy mnie. Nie pozwoliłam, aby ktoś ze starszych przyszedł. Obawiałam się, że będą zaglądać wszędzie. W nocy nastąpił kryzys, osłabienie. Przybyły lekarz wyjaśnił, że takie reakcje na silne wstrząsy zdarzają się często.

Po aresztowaniu Władka „Kowal” polecił mnie wydostać z piwnicy na ul. Okrąg paczki zawierające lampy, części do aparatów radiowych itp. sprzęt pochodzący ze zrzutów. Piwnica ta znajdowała się w domu vis a vis, zamieszkałego całkowicie przez Niemców. Nie wiedziałam gdzie ona się znajduje. Nie mogłam wtajemniczyć w to dozorcę, bo lubił pić i mógł zdradzić się przed Niemcami, którym otwierał bramę. Mama stanowczo sprzeciwiała się temu bojąc się niepowodzenia. Wołała stracić ziemniaki, sól i warzywa, które tam zaniósł brat wraz z cennymi paczkami. Dwa razy akcję odwołano nie chcąc niepokoić rodziców załamanych aresztowaniem syna. Musiałam jednak wykonać polecenie. Umówiliśmy się, że gdy Mama pójdzie rano do kościoła załatwimy tę

sprawę. Miałam tylko klucz do kłódki. prosiłam dozorcę, aby mi wskazał która to piwnica. Chętnie to uczynił. Nawet ofiarował się sam wynosić te worki, abym nie poplamiła swego kostiumu. Wskazywałam mu worki z warzywami, a sama dźwigałam te, w których wyczuwałam znane mi pudełka. Obróciliśmy kilka razy. Gdy już ostatni raz przechodziliśmy przez ulicę nadeszła Mama, a widząc co się dzieje, zatoczyła się i oparła o ścianę. Na szczęście „Kowal” to tak zorganizował, że „jego” bagaże od razu zniknęły z bramy.

- - -

Miejscem nadawania były dwa moje mieszkania, które musiałam zmieniać trzy razy. Często korzystano z domku mojej siostry Jadwigi Oberda na Sadybie. Domek ten stał w ogródku, a wokół były place nie zabudowane.

Używało się wtedy najczęściej „szybkiej”, którą otrzymaliśmy ze zrzutu. Była to aparatura większa od tamtej. Miejsce tamtego nadawania było z jednej strony bezpieczne, bo widziało się z daleka czy nie zbliżają się Niemcy. Jednocześnie dla nich łatwiej było wykryć miejsce nadawania, bo innych zakłóceń nie było w pobliżu. Oczywiście w czasie pracy w dużym promieniu byli rozstawieni nasi ludzie. Jednak pewnego razu groziła wpadka. Wtedy zanieśiono aparaturę do sąsiada Czecha, który miał papiery niemieckie. Jego domu nie rewidowali. Potem wielokrotnie przechowywał u siebie „szybką”. Nazywał się Molin.

Zbliżał się czas przygotowania do powstania. Zaangażowałam się w pracy Armii Krajowej i już nie udzielałam się w komórce „Kowala”.

Oboje Uchmanowie przyszli do nas w czasie powstania na naszą placówkę. Oni przez cały czas nadawali, choć z kilku miejsc wyгнаły ich bomby. Po upadku powstania Jasio z workiem na plecach wyszedł z Warszawy wraz z ludnością cywilną. Gdy groziła rewizja pozbył się bagażu. Przebywał wraz z żoną w różnych obozach, potem znalazł się w Holandii, gdzie urodziła im się córeczka Anna, którą podawałam do chrztu już w kraju.

Na tym zakończę te wspomnienia. Nie są to wiadomości techniczne odnośnie aparatów, którymi się opiekowałam, ani powiązania personalne z ważnymi osobistościami, bo tego rodzaju kontaktów unikaliśmy w konspiracji. Każdy robił w małym zakresie to, do czego go zobowiązano, a ja byłam małym kółeczkiem w tej ogromnej maszynie konspiracyjnej.

*Amelie Rutkiewicz-Pomorska*



4 1/3-52

Do p. Waldemara Grabowskiego.

Szanowny Panie z chęcią przyczynię się do pracy Pana , tymbar~~dz~~ dziej, że zmarli Stefan Pawłowski nie uczynili tego jak również Jan Uchman "Kowal". Pawłowskiego znałam przed wojną. Janka Uchmana w czasie konspiracji. On odbierał mDją przysięgę . Przyjazniłam się i z jego żoną.

W czasie pracy konspiracyjnej częste kontakty miałam z "Mieciem", który nadawał zaszyfrowane depesze, był obowiązkowy, niezawodny, szybki w działaniu. Zmarł kilkanaście lat temu w bieżnie.

"Kowal" często narzekał, że ukazuje się dużo publikacji tylko o łączności wdjskowej z Londynu, a przecież nasza komórka nadawała dużo i często. Nawet w czasie powstania

"Kowal" był bardzo zdolnym inżynierem, sam konstruował aparaty, usuwał jego usterki. Nawet "szybką", którą otrzymaliśmy ze zrzutów umiał uruchomić. "Hanka" jego żona też pracowała jako łączniczka. Miałam z nią częsty kontakt, choć nie wiedziała, że jast żoną Janka. Dopiero, gdy go złapano w ulicznej łapance , przyznała się do tego. Janka wypuszczone za kaucją. Felicja przebywa teraz u córki i zięcia Duracza, wielkiego patrioty i solidarnościowca..

Po tych ogólnych wiadomościach przejdę do interesującego Pana tematu.

.....

I XII 1940 r wróciłam z przymusowych robót w Niemczech, dokąd mnie wywieziono z Pawiaka w lipcu. Ponieważ rok szkolny już trwał(jestem nauczycielką) Stefan Pawłowski zatrudnił mnie w sklepie spożywczym jako kasjerkę. W marcu zetknął mnie z Uchmanem, który odebrał ode mnie przysięgę i objaśnił, jakie będą moje zadania. W dołączonych odpisach xero są wymienione moje obowiązki, w więc nie będę ich powtarzać. Opiszę tylko chwile. kiedy "miałam duszę na ramieniu".

Pierwsza aparatura mieściła się w dwóch pułkawkach z jasnej blachy o wymiarach 30-30-5 cm. Do przenoszenia ich używałam dużej granatowej lub szarej torby zależnie od swego stroju. Na wierzch wrzucałam kosmetyczną szkolorową apaszke, której końce wysuwały się z torby. Wychodząc z domu rozglądałam się uważnie, czy nie kręcą się jacyś podejrzani ludzie. Wiem też , że i "Kowal" rozstawiał ludzi wokół mnie.

Kiedyś miałam zawieźć torbę na Pragę. Na ul Wietracznej ktoś miał ją odebrać. Stałam koło B G K na rogu ul. Nowy Swiat i al. Jerozolimskich czekając na tramwaj. Była godzina 15, tłumy ludzi szturmowały każdy nadjeżdżający tramwaj. Próbowałam i ja dostać się do środka, ale bez skutku.

Przepuściłam kilka możliwości przedostania się na drugą stronę Wisły. Nadjechał znów odpowiedni tramwaj i znów moje wysiłki spełzły na niczym. Wtem poczułam, jak ktoś mnie bierze pod rękę. Obejrzałam się, po znałam, był to wysoki, rudy gestapowiec, który dwukrotnie odwoził mnie z Pawiaka na al. Szucha. Skierował mnie do przedziału "nur fu<sup>49</sup>Deutsche"



i pomógł wsiąść. Struchlałam, ale nie mogłam stawiać oporu. Weszłam.

Niemiec został na platformie. Przesunęłam się do środka i wcisnęłam się w gęsty tłum Polaków. Obserwowałam z niepokojem, jak Niemiec na każdym przystanku wychylał się i patrzył na wysiadających. Na długiej ul. Waszyngtona gdzieś zniknął. Dojechałam szczęśliwie do celu, cała oblana potem. W domu okazało się, że Władek, który mnie osłaniał zobaczywszy reakcje gestapowca, zastanawiał się, czy już zacząć strzelać. Potem jak "winogrono" jechał tym samym tramwajem.

Innym razem "Kowal" polecił mi odebranie paczki na dworcu o oznaczonej godzinie, na sygnał i hasło. Na zapytanie co mam dalej z tą paczką zrobić, powiedział, że dowiem się na miejscu. Odebrałam, wychodzę, a tu podbiega do mnie mężczyzna w roboczym kombinezonie, bierze pakunek i podaje do rikszy. Poznałam, to był mój brat Władek. Usiadłam jako pasażerka, a mój przewoźnik otulił mi nogi kocem, pod który schował paczkę. Wioząc szeptał mi do ucha, że obawiał się awantury, bo odnawiał potencjalnym pasażerem czekając na mnie. Władek znał adres, gdzie trzeba było odstawić paczkę.

"Miecio" kiedyś opowiadał, że niósł zwitek depeusz, które miał nadać. Zatrzymali go żandarmi na ulicy, aby wylegitymować. On upuścił cenny zwitek i wtarł butem w błoto. Musiałam pojechać do "Grabowieckiego" po nowy kod. Pojechałam na Saską Kępe, gdzie pani Jadwiga (pierwsza żona) napisała kilka kolumn cyfr i wręczyła mi. Schowałam zwitek do rekawiczki. Na Maeszałkowskiej zatrzymano tramwaj między przystankami. Weszli Niemcy. Niektórym pasażerom kazali wsiąść, innym sprawdzali dokumenty. Zdjęłam rekawiczkę, podałam kenkartę. Sprawdził, zasalutował i kazał jechać. Dostarczyłam karteluszek na czas.

A oto inna "przygoda" w tramwaju.

Wąjsilniej jednak przeżyłam przejazd mostem Poniatowskiego. Miałam ze sobą swoją torbę. Zanim tramwaj wjechał na most został zatrzymany przez żandarmów. Kazali wszystkim wsiąść. Po sprawdzeniu dokumentów niektórym pozwolono wrócić do tramwaju, innych zatrzymywano koło siebie. Mnie jednej wskazano kierunek na most, na którym nie było ani jednej osoby. Trzymając mocno swój skarb, posuwałam się na przód rozmyślając dlaczego ja tak idę, może chcą strzelić do mnie?

W pewnym momencie podbiegł do mnie młody mężczyzna z dwoma dużymi białymi paczkami. "Proszę pani, proszę wziąć te paczki i zanieść na ul. .... i powiedzieć jej, że zostałem zatrzymany na moście przez żandarmów. To są gilzy, my je napełniamy tytoniem i sprzedajemy"

Szedł obok mnie i ustawicznie to powtarzał. Wzięłam jedną paczkę. On kroczył obok i wciąż mówił. Byłam przygotowana, że za chwilę rozlegnie się salwa z karabinu... "Pewnie zaczną od nóg.... te paczki takie widoczne.....ach, jak trudno poruszać nogami.... dlaczego są jak z waty? ... wchodzimy na najwyższy punkt mostu..... nie ob50rzyć się



I/3-34 3

nie chcę widzieć wmierzonych karabinów.... kogo oni chcą zastrzelić? jego czy mnie?.... teraz nogi nasze są zakryte, zstępujemy ze wznie-  
sienia.... teraz mogą mierzyć w plecy.... dlaczego on wciąż mówi?....  
Wreszcie pierwsze zejście na dół... skręciliśmy.... Za osłoną murku  
siedliśmy na schodkach, objęliśmy się, śmieli i płakali długo i esrde-  
cznie. Nigdy więcej nie spotkałam tego młodego człowieka.

Gruchnęła wieść o katastrofie lotniczej, w której zginął gen Sikor-  
ski. Skorzystaliśmy z aparatu i słuchaliśmy wieści z Londynu. Następnego  
dnia Niemcy aresztowali Władka, bo znaleźli aparat radiowy. ~~Brat zginął~~  
Brat zginął w Oświęcimiu.

Po aresztowaniu Władka "Kowal" polecił mi wydostać paczki z uli-  
cy Okrag, gdzie przechowywane części do aparatów, pochodzące ze zrzutów  
Piwnica ta znajdowała się w domu całkowicie zamieszkałego przez Niemców  
vis a vis sklepu i mieszkania rodziców. Ja nie wiedziałam, gdzie ona  
się znajduje. Nie mogłam wtajemniczać w to dozorcę, bo lubił pić i mógł  
zdradzić się przed Niemcami, którym otwierał bramę. Mama stanowczo sprze-  
ciwiała się temu, bojąc się niepowodzenia. Wolałam stracić sól, buraki  
i ziemniaki, które tam zaniósł brat wraz z cennymi paczkami. Dwa razy  
odwołano akcję nie chcąc niepokoić Rodziców załamanych aresztowaniem  
syna. Musiałam jednak wykonać polecenie.

Umówiliśmy się, że gdy Mama pójdzie do kościoła załatwimy tę sprawę ra-  
rano. Miałam tylko klucz do kłódki, Poprosiłam dozorcę, aby mi wskazał,  
która to piwnica. Chętnie to uczynił. Nawet postanowił sam wynosić wor-  
ki, abym nie poplamiała swego kostiumu. Wskazywał mi worki z warzywami,  
a sama dzwigałam te, w których wyczułam znane mi pudełka. Obróciliśmy  
kilka razy. Gdy już ostatni raz przechodziliśmy przez ulicę, nadeszła  
Mama, a wdząc co się dzieje, zatoczyła się i oparła o ścianę. Na szczę-  
ście "Kowal" to tak zorganizował, że "jego" bagaże od razu zniknęły z bra-  
bramy.

Latem wiozłam swój cenny sprzęt na Sadybę do mojej siostry, gdyż tam  
miało się nadawać. W tramwaju postawiłam torbę obok, bo nie było tłoku.  
Na przeciw usiadł żołnierz niemiecki i wyraźnie mnie kokietował. Nie  
zwracałam na niego uwagi. Wtedy rozłożył na kolanach ręce i uśmiechał  
się do mnie. Na każdym paluchu miał po kilka pierścionków różnego koloru,  
różnego gatunku i wartości. . Zaczęłam się zastanawiać kiedy i gdzie  
wysiąść. Do domku siostry trzeba było iść przez nie zabudowane pola.  
Bałam się, czy temu szwabowi nie przyjdzie ochota iść za mną. Prze-  
niosłam się na inne miejsce. Niemiec wysiadł wcześniej. Odetchnęłam.

Miejscem nadawania zrazu były moje mieszkania, które musiałam  
zmieniać trzy razy. Potem, gdy otrzymaliśmy "szybką" aparat większy od  
dozwoleńczasowych, miejscem nadawania była Sadyba. Oczywiście w czasie  
pracy nasi ludzie byli rozstawieni w szerokim promieniu dla bezpie-  
czeństwa. Jednak pewnego razu groziła wpadka. Wtedy "szybką" przenie-  
siono do sąsiada Czecha, który miał niemieckie ~~saaiery~~ saoiery. to Molin.

Zbliżał się czas przygotowania do powstania. Zaangażowałam się w pracę Armii Krajowej i już nie udzielałam się w komórcie "Kowala".

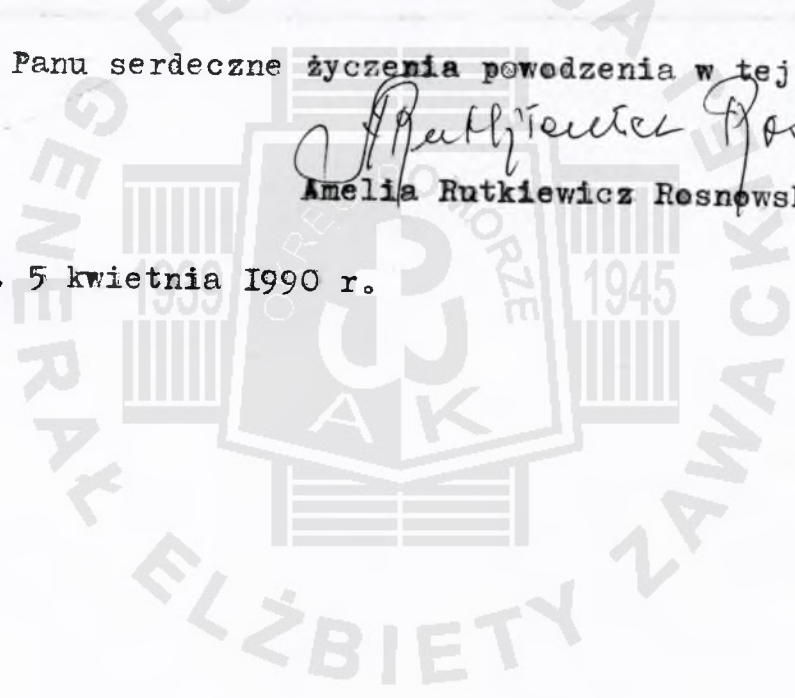
Oboje Uchmanowie przyszli na naszą placówkę. Podobno przez cały czas nadawali, choć z kilku miejsc wyгнаły ich bomby. Po upadku powstania Jnek z workiem na plecach wyszedł wraz z ludnością cywilną. Gdy groziła rewizja pozbył się bagażu. Przebywał wraz z żoną w różnych obozach, potem znalazł się w Holandii, gdzie urodziła się im córka. Anię podawałam jako chrztu już w kraju.

Na tym zakończę te wspomnienia. Nie są to wiadomości techniczne odnośnie aparatów, którymi się opiekowałam, ani powiązania personalna z ważnymi osobistościami, bo tego rodzaju kontaktów unikaliśmy w konspiracji. Każdy robił w swoim zakresie to, do czego się zobowiązał, a ja byłam małym kółeczkiem w tej wspaniałej maszynie konspiracyjnej.

Przesyłam Panu serdeczne życzenia powodzenia w tej pięknej pracy.

*Amelia Rutkiewicz Rosnowska*  
Amelia Rutkiewicz Rosnowska

Warszawa dn. 5 kwietnia 1990 r.





5/3-36 2

ANDRY LEŻEŃSKI

ZETRZYJ  
Z WŁOSÓW  
PYŁ  
BITEWNY

W PAMIĘĆ ZOLNIERZY  
WARSZAWSKIEGO  
BATALIONU AK  
ZARĘBKA  
PIORUN



## „Czuję jak śmierć kroczy obok mnie”

Jednego sierpniowego ranka żołnierze pełniący służbę nocną donieśli, że Niemcy o świcie pod mury domu leżącego na rogu ulic Wspólnej i Emilii Plater coś podzucili. Około godz. 6.00 otworzyli kanonadę i podpalili szmaty nasycone benzyną. Dom stanął w płomieniach.

Ludzie zgromadzeni w piwnicach zaczęli w poplochu uciekać. Wdziało się matki z wysiłkiem ciągnące małe, rozespane dzieci, kobiety hiegnące z pieskiem lub kanarkiem w klatce, niektórzy uciekali z telefonem lub innym mało ważnym przedmiotem.

„Jeremi” ppor. Jeremi Rosnowski szybko opanował sytuację. Nakazał żołnierzom starać się zawrócić uciekających, przerażonych ludzi, wskazać nowe miejsce zamieszkania i pomóc wynosić potrzebne rzeczy. Do wnętrza ogień jeszcze nie dotarł, więc można było zabierać z szaf bieliznę, ubrania i zrzucać je na rozłożony koc lub prześcieradło, nakazać właścicielowi, aby zabierał z biurka czy szuflad wartościowe dokumenty i książki. Wtedy z ogromnymi tobotami wędrowaliśmy wspólnie piwnicami, aby na podwórzu leżącym z dala od ognia złożyć przy niesiony dobytek. Następnie wracaliśmy pośpiesznie do płonącego domu, aby jeszcze ratować co można było.

Czasło „gospodarzyliśmy” sami w mieszkaniach i wynosili różne rzeczy. Właściciele dopiero na podwórku poznawali swoje tobotki i przedmioty.

W ten sposób pomogliśmy wynieść wiele hel materiału z magazynu białwatnego. Właściciel z wdzięczności olirował szary, prądkowany sztruks na mundur dla chłopców i szafitową welenkę na stroj dla łączniczek i sanitariuszek naszego plutonu.

„Jeremi” — komendant, jako że znany był ze wspaniałej organizacji, zabrał z domów maszynny do szycia i urządził pracownię krawiecką w piwnicach. Pracujący otrzymywali takie same porcje jedzenia co my.

Wkrótce cały nasz pluton był pięknie umundurowany. Gdy kiedyś prowadziłam część dziewcząt i chłopców na koncert odbywający się na ul. Poznańskiej z daleka wołano: „O patrzcie, to żołnierze „Jeremięgo” — a my byliśmy dumni i jeszcze bardziej równaliśmy szereg.

Dom, z którego wynosiliśmy ludzkie mienie, spłonął, ale mury pozostały. Nie mogliśmy wyrzec się tej naszej placówki, przylegającej

bepośrednio do terenu, gdzie Niemcy mieli swój park samochodowy. Ustawił się więc stałe posterunki na gruzach. Żar, wydobywający się przez długie tygodnie z popiołów, niszczył buty żołnierzy. Komendant i tym razem poradził sobie: skrzyknął szewców, którzy osiedli w piwnicy, aby reperować buty. Przyneśli ze sobą nie tylko narzędzia, ale i skóry. Ten powrót do wypalonego domu kosztował nas śmierć dzielnego, karnego i pełnego poświęcenia żołnierza „Auriga”. Gdy objął posterunek, został ugodzony śmiertelnie w pierś. Pochowaliśmy go w ogródku „Macierzyństwa”. Pożegnaliśmy go kilkoma zdaniemmi płynącymi z głębi naszych serc. Komendant odezwał rozkaz o nadaniu mu pośmiertnie Krzyża Walecznych.

Gdy wciągałam go na listę żołnierzy, spytałam co oznacza ten pseudonim. Powiedział, że „Auriga” po łacinie to furman, a on nazywał się Furman. Rozpoczął naukę w seminarium duchownym, przyszedł do powstania, bo uważał to za swój patriotyczny obowiązek. „Auriga” pisał wiersze, które czytał niektórym kolegom. Śpiewaliśmy nawet w plutonie jego utwór na melodię „Morze nasze morze”. Zaczynała się ta pieśń od słów: „Gdy Warszawa oręż wzięła my z Jeremin idziem w bój”. Wśród jego zapisków znalezionych w kieszeni było zdanie (cytuje dosłownie): „Czuję jak śmierć kroczy obok mnie”.

Drugim poległym, zatowanym przez wszystkich, był „Bill”, śliczny chłopiec, chyba szesnastoletni, kamy, koleżeński i nieustrudzony w wykonywaniu obowiązków. Kiedyś sam zgłosił się na wartę, zastępując kontuzjowanego „Kozaka”. Nikt nie mógł wyjaśnić, skąd trafiła go kula, gdyż siedział w wykuszu okna od strony podwórka. Pochowaliśmy go obok „Auriga” w ogródku na tle muru. Cieżko było patrzeć na rozpacz jego siostry, która wracając od św. Józefa zobaczyła mogiłę brata.



Obrońcy szpitala św. Józefa, z dowódcą ppor. Jereminem Rosnowskim „Jeremin”

Amelia Rosnowska „Ama”



III / 1. MATERIAŁY DOTYCZĄCE RODZINY RELATORA

- Kartka poczty wojennej do obozu pod Magdeburgiem, 1945, nps, rkps, kopia, k-l, s. 1 + duplikat
- Zaświadczenie dotyczące ewakuacji z Warszawy wydany przez wójta gminy Stupia, Stupia 1945, nps, rkps, kopia, k-l, s. 2
- Informacje dotyczące matki i siostr, [b.d.], rkps, oryg, k-l, s. 3
- Informacje biograficzne dot. siostry matki - M.E. Rutkiewicz, [b.d.], nps, kopia, zdj., k-l, s. 4
- Drzewo genealogiczne rodziny Rutkiewiczów, [b.d.], rkps, oryg. k. 1 s. 5
- Ogłoszenie w gazecie o miejscu pobytu rodziny [b.d.], nps, kopia, k-l, s. 6



11/1-1

**Kriegsgefangenenpost**  
Corrispondenza dei prigionieri di guerra

Wielmożna Pani  
Elżbieta Rutkiewicz

-3.2.45. 18-20

Sialag 12  
Gepran

Italia Settentrionale Norditalien	Italia Meridionale Süditalien
Cancellere parole non riguardanti Nichtzutreffendes streichen	

Gebührenfrei! Franco di porto!

Empfangsort: Klein Weizleben  
Località di destinazione: bei Magdeburg

Straße: Karake 491164 Satube №36

Landesteil: Deutschland  
Provincia:

114a

**Kriegsgefangenenpost**  
Corrispondenza dei prigionieri di guerra

Wielmożna Pani  
Elżbieta Rutkiewicz

-3.2.45. 18-20

Sialag 12  
Gepran

Italia Settentrionale Norditalien	Italia Meridionale Süditalien
Cancellere parole non riguardanti Nichtzutreffendes streichen	

Gebührenfrei! Franco di porto!

Empfangsort: Klein Weizleben  
Località di destinazione: bei Magdeburg

Straße: Karake 491164 Satube №36

Landesteil: Deutschland  
Provincia:

114a



11/1-2

Wójt gminy Słupia  
pow. włoszczowskiego.

(Miejscowość)

Słupia, dnia 22 lutego 1945.

Nr. .... /45.

Z a s w i a d c z e n i e.

Rutkiewicz Anna

Niniejsza ja stwierdzam, że ob.....

urodzony dnia 21.7.1906..... w ..... Dzisiaj.....

przebywał czasowo na terenie tutejszej gminy jako

ewakuowany z ..... w Warszawie.....  
z rodziną ..... osobiście swego poprzedniego miejsca zamie-  
kania tj. do ..... w Warszawie.....

Wójt gminy Słupia.



za *[Signature]*  
/St. Jastrzębski./

(stąpod uznawany)

*Anna i Gie wyjechały z domu*





## Mama moja

188 Anna Rutkiewicz z d. Zubowaska urodzona  
na wileńszczyźnie w r. 1908... prowadziła sklep  
spożywczy i tam pod ps. „pani Zofia” przy-  
mowała jakiś pisemka. Zmarła w 1964r

## Siostra moja

Inna Rutkiewicz urodzona gimn. Siost  
Kacaretausk opowiada jak przesyłała pismo  
od siostki do dentystki na al. Wileńszka, gdzie  
gromadzili się „panowie”. Totem wysyłana  
była do Kralowa i Swowa. Siostay coś ka-  
ssymaty w jej pas od podwieżek, a adresatka  
leś siostny zagonne nokieraty Inna i te  
kaberaty pas. Ona nie wiedziała co prze-  
wzięła. Mama raniepolkojona wystata je  
do brata do Sieolbe.

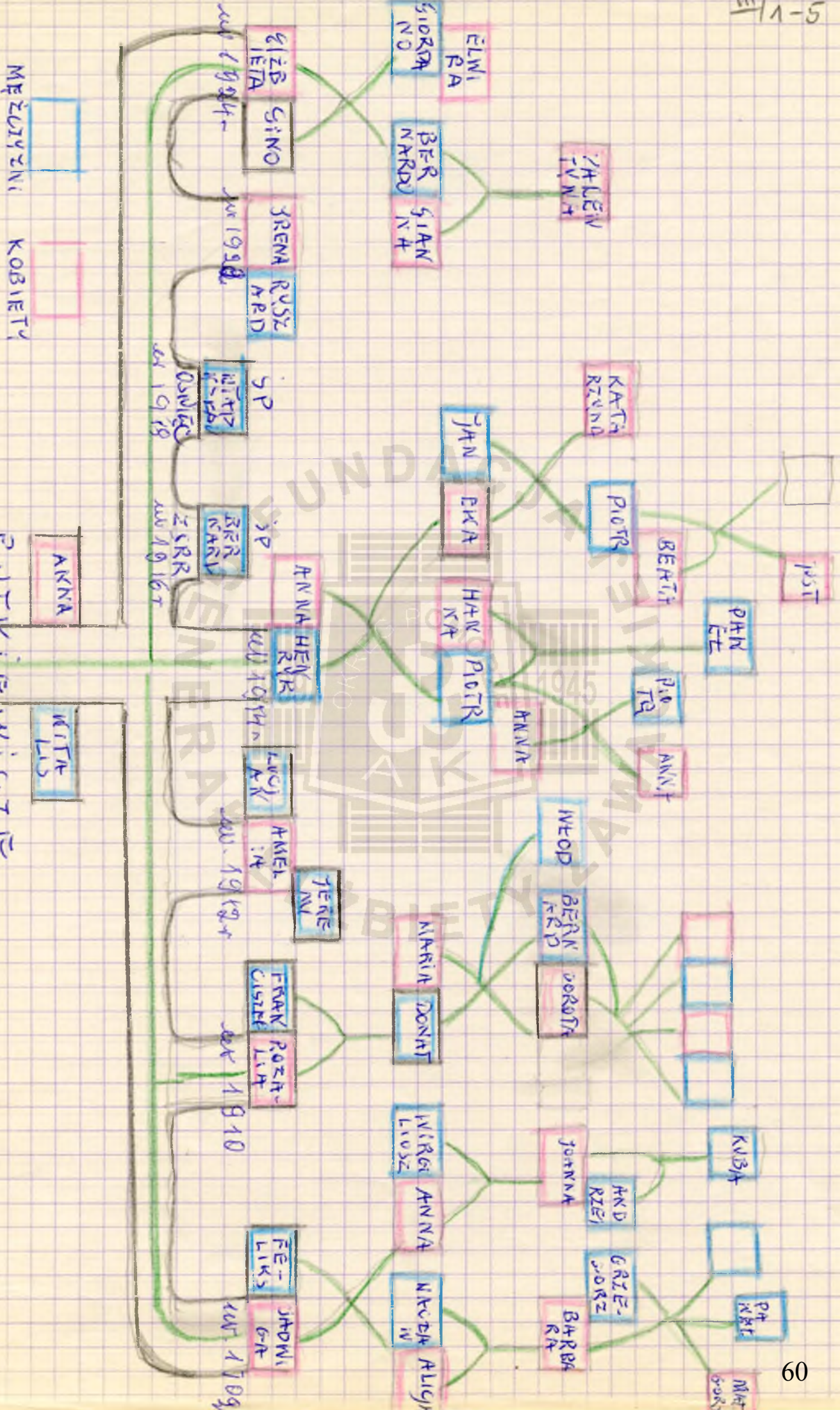
Inna ur. X 1924r w Warszawie,  
obecnie Franciszek. numer 28 400 Pinoyów  
tel. 041-35-721-65 ul. Bat. Chłops. 2-23





Rutkiewicz Maria Elżbieta wdowa Lanzetti.  
Urodzona w Warszawie 10.8.1925 rok. Matka Anna  
Żukowska ojciec Witalis. Najmłodsza z ośmiorga  
dzieci. Zamieszkała w Warszawie ul. Okrąg 4.  
Wykształcenie średnie. Uczęszczałam do prywatnej  
Szkoły Żeńskiej Handlowej której nie skończyłam  
bo po Powstaniu warszawskim zostałam wywieziona  
do Niemiec na roboty.  
Po skończonej wojnie w czerwcu 1945 roku wyszłam  
zamąż za byłego jeńca Włocha w mieście Ingolstadt  
w Niemczech.  
Mieszkam w Italii. Mam dwóch synów.  
Mój mąż zmarł w wypadku samochodowym w 1980 roku.





III/h-6

Rutkiewicz Ela, Warszawa, Wilanowska,  
zawiadamia matkę i rodzinę, że znaj-  
duje się: Klein Wanzleben b. Magde-  
burg, Bafakte Nr. 49.11.64. Stube Nr. 36.  
Pisala do Olgii Matuszek, Kraków, Szpi-  
tała 20/22. 825





III/2

- Znak „P” noszony przez Polaków wywiezionych na roboty przymusowe do Niemiec, 2003, rękopis (oryg.), k.1, s.1





To Polak

na przemysłowych robotach w Niemczech  
w czasie II wojny światowej od 1940r.



IV.

KORRESPONDENCJA BIEŻĄCA



dn. 20 XI 1984r.

I egzemplarz przekazatom  
do Głota Miłośn. Historii  
Stare Miasto - Warszawa

J. P. G. M.



Amelia Rutkiewicz-Pomorska  
Dom Opieki Społecznej  
ul Hetmańska 44-101  
04-305 Warszawa  
tel. 610-60-16 w. 408  
w. imo. 1798/WSK

Warszawa 19 V 2008r

Do  
p. Rajewskiej  
Fund. Arch. Pomorskiej  
ul Garbary 2  
Toruń

<b>FUNDACJA</b> "Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polak w Toruniu"	
Wpłynęło dnia:	21.05.2008
L. dz.	.....
Załącznik:	AM
Referent:	.....

Wielce szanowno Pani!

Przepraszam, że dopiero teraz odpowiadając na listy z dn. 15 XI 2007r w tym zakresie chciałam przedstawić wyczerpującą informację po zapaleniu płuc, karków i śródpięcia. Dwie choroby odleżały w szpitalu, pozostałe biłastrycy. Ponieważ według opinii lekarzy nie mogę pozostać bez stałej opieki, zmusiła mnie do przeniesienia się do Domu Op. Społ. pod kierownictwem Panią Marii Mirosławskiej Białej.

Ważnym życiem mam się zajmować, spełniając obowiązki, wróciłam do działalności produkcyjnej i fizycznej. Choć nie mogę już dojeżdżać do siebie, mimo różnorodnych możliwości próżno szukam się z prośbą Pani i dostarczyć niezbędne wiadomości do siebie. Nie pamiętam co znajduje się w Wariancie posiadania.

Dotyknę następujących materiałów Xero:

1. do Kolekcji Mirosławskiej Historii - Stare Miasto w Warszawie
2. Przemysławowa praca w Niemczech
3. do p. Grabowskiej, która zbiera materiały do książki "Delegatura Prosta do Kraj".

Jednocześnie donoszę, że wiele materiałów oryginalnych jest w posiadaniu mojego brata Pawła Rutkiewicza, który odwieźmie je do mnie w Warszawie i zamieszka.



Wzrost, z listami do mego mego Jerzego Pomorskiego, perone stowbie w obrotach niemieckich, preparam do Biblioteki Kaszubskiej ul. Kasimierz w Warszawie.

Pracę Puthenice przeprowadzi się do nowego mieszkania przy ul. Potockiej 57, w Warszawie.

Gdy je edycja, proszę z nim nawizować Rou-  
sault.

Styczeń Fundacji i osobne pracującym w niej sukcesów w prowadzenie faktów kirkonymy.

Władysław Puthenice Puthenice

P.S. Przesyłam jednocześnie swoje zdjęcie z 1957 r.



Mad. J. Suwalska  
al. Sakhomskiego 27  
05-820 PIASTÓW



Wpłynęło dnia 9.10  
Licz. 3358 HSH 1001

~~FUNDACJA  
Archiwum Pomorskie A.K.  
Stoż. Przyjaciół Memoriale  
Gen. M. Wittek  
al. Garbalińskiej Garbary 2  
87-100 TORUŃ~~

p Waldemar Grabowski  
z Krakowa  
zbiera materiały do napisania  
książki: Delegatura Rasolu  
na Kraj





FUNDACJA  
Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej  
ul. Wielkie Gąbki 2, 87-100 Toruń  
fax (0-56) 65-22-186  
Konto: WBK III Oddział w Toruniu  
10901506-4675-128-00-0

(L. Nr. 4148 WSK 2001  
MEMORIAŁ GENERALNY  
MARII WITTEK



POW  
PWK

WSK  
-AK

Szanowna Pani

Amelia Rosnowska

ul. Potocka 33 m 27

01-631 Warszawa

Toruń, dnia 13 XI 2001r.

Wielce szanowna Pani,

W imieniu p. prof. Elżbiety Zawackiej i zespołu pracowników Fundacji serdecznie Panią pozdrawiam. Bardzo się cieszę, że mogłam chociaż chwilę porozmawiać z Panią telefonicznie. W Archiwum WSK jest założona Pani teżka osobowa, numer inwentarza 1798/ust. Pragniemy by nasze kontakty były trwałe jeżeli jest to możliwe oczekujemy referatu na temat Selegacji Rządu. Wszystkie materiały sesyjne są publikowane. Proszę o podanie nowego adresu, aby uzyskać Pani bieżące informacje o Fundacji. Życzę Pani wiele zdrowia i dobrego samopoczucia na naszym miejscu.  
Z wyrazami szacunku - Anna Rojewska



**MEMORIAL**  
*General Marii Wittek*

Toruń, dnia 20 VIII 1999 r.

*z. dz. 2055/4sh/99.*

*mel. 0*  
Pani ~~Aniela~~ Rosnowska  
ul. Potocka 33/27  
Warszawa

*kopie*

Szanowna Pani,

W odpowiedzi na Pani list z dnia 24 VII br., w którym prosi Pani nas o opinię na temat materiałów przez Panią do nas przysłanych informujemy, że materiały te mają przede wszystkim dużą wartość informacyjną dla historyków zajmujących się zagadnieniami WSK. Relacja Pani jest bardzo rzeczowa, co ważne jest też dla badań historycznych-socjologicznych. Ubolewamy jedynie nad tym, że większość materiałów przez Panią przesłanych, to kserokopie, nie zaś oryginały czy fotokopie, a w przypadku zdjęć reprodukcje. Przesłała też Pani fragmenty z pamiętnika, szkoda jednak, że nie mamy w naszych zbiorach całości.

Niemniej jednak bardzo Pani dziękujemy za przysłanie tych wszystkich materiałów, które dzięki Pani mogły się znaleźć w Jej teczce osobowej (wiemy jak cenną pamiątką są oryginały).

Dziękujemy również za podanie nam adresu Pani siostry Ireny, i siostry ciotecznej Longiny. Do pierwszej już napisaliśmy, niestety bez odpowiedzi, do drugiej z Pań napiszemy w najbliższym czasie.

Z wyrazami szacunku

*K. Minczykowska*

Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK



Wawne 24 VIII 99r

Szanowna Pani!

Czy mogę prosić o opinię odnośnie  
zaproponowanych przez mnie dekadów  
mojego uczestnictwa w pracach Komisji  
wacjijnych.

Jednocześnie wspominać, że od 1-16 IX br.  
będę w domu nieobecna. Mam więc  
nadziej, że otrzymam list we wskazu-

Przełęcz

P.S. Dla wielu czy zainteresuje Panię  
fakt następujący: moje cioteczka siostra  
ksi noworechelska mieszkała we wsi  
nazwanej ksi do A.R. Przejmowała zwyczaj  
miała kontakty. Jest b. słowna, ma dużo  
mówi na ten temat. Mogę, że spodobałoby  
w jakimś ksi stać się bardziej zainteresować.  
Dla potrzeb archiwum. Proszę ją zobaczyć  
o napisanie.

O jej adres: Longina Cybulska  
Okiemcówka 50  
08-420 Michałów

Amelia Rutkiewicz Rosnowska.

Warszawa 22 VII 1999r.

2/IV

ul. Połocka 33- 27.

OI- 63I Warszawa

Szan. Pani Katarzyna Minczykowska.

L dz. 1373/WSK/ 88

Wpłynęło dnia 29.07.99 VM  
Ldz. 1551 HSK 99 P.W.

W odpowiedzi na pismo Pani z dn. 23VI br. przesyłam kserokopie dokumentów i fotografii. Nie wiem jak je uporządkować, bo nie wiem do czego mogą służyć.

Jednocześnie pragnę zwrócić uwagę na zdjęcie mojej licznej rodziny, które pozwoliłam sobie dołączyć do tych dokumentów. Moja praca w konspiracji chyba nie zaistniałaby, gdyby nie wychowanie, jakie otrzymaliśmy w domu rodzinnym. Każdy z nas wykonywał swój obowiązek względem Boga, Ojczyzny i rodziny jak mógł najlepiej.

Dlatego działalność moja w konspiracji pociągała za sobą moje reżenstwo. Często losy jednego z nas wpływały na dalsze postępowanie pozostałych.

W myśl, że motorem naszego działania była nasza wspaniała Mama.

Ona wraz z głęboką wiarą wpoila w nas służbę innym i odwagę.

Pamiętam ją, jak w Rosji stawiała czoło bolszewikowi, który plądrował mieszkanie, wiedząc, że przebywał tu biały oficer. Stała przy piecu piecu wyniosła i piękna trzymając niemowlę na rękę "Może pan i do pieca zajrzy?" Bolszewik machnął ręką i wyszedł. W piecu był pistolet.

I teraz w czasie okupacji nie zabroniła nam pracować w konspiracji.

Trudno mi mówić o tym na tak urywkowym fragmencie mego życia. Opisałam je od czasu rewolucji październikowej aż do chwili obecnej. Znalazły się tam pamiętniki, opisy, reportaże, dokumenty zdjęcia i opowiadania. Jestem nauczycielką więc i o pracy z dziećmi też są wspomnienia. Mój brat, inż. Henryk Rutkiewicz też opisał swe życie. Siostra Elżbieta Rutkiewicz Lanzetti przekazała też swe wspomnienia (to ona wyskrobała podpis na murze w podziemiach gestapo). Mieszka teraz w Italii. Proszę poradzić kto może to wydać?

Przesyłając wyrazy szacunku

pozostaje

Amelia Rutkiewicz  
Rosnowska



**MEMORIAL**  
*General Marii Wittek*

Toruń, dnia 23 VI 1999r.

Ldz.: 1373/wsk/PP

Pani Amelia Rosnowska  
Warszawa, ul. Potocka 33/27

Szanowna Pani !

Bardzo dziękujemy za przysłane materiały dotyczące Pani służby wojennej oraz krótkie notki na temat Pani mamy i Siostry.

Na podstawie tych materiałów założyliśmy w naszym Archiwum, na Pani nazwisko, teczkę osobową.

Prosimy jednak, o ile jest to możliwe, o przysłanie w celu uzupełnienia akt, Pani zdjęcia, najlepiej z okresu okupacji, ale może być też z czasów powojennych. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała Pani również przysłać nam kserokopie artykułów, w których są wzmianki na temat Pani działalności.

Do Pani Siostry, Ireny, napiszemy osobno.

Z wyrazami szacunku

*K. Minczykowska*

Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK  
przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”

MEMORIAL  
General Marii Wittek

nlb/14

Toruń, dnia 23 VI 1999 r.

Ldz.: 1374/WSK/PP

Pani Irena Rutkiewicz - Krasicyńska  
ul. Batalionów Chłopskich 2-23  
28 - 400 Pińczów

Szanowna Pani !

Nasze Archiwum prowadzi szeroką akcję zbierania materiałów dotyczących służby kobiet na wszystkich frontach II wojny światowej. Na podstawie listu Pani siostry, Amelii Rosnowskiej, wiemy, że była Pani uczennicą gimnazjum SS. Nazaretanek i przenosiła Pani podczas okupacji konspiracyjną korespondencję. Czy mogłaby Pani podać nam na ten temat więcej informacji ? Bylibyśmy ogromnie wdzięczni, gdyby zechciała Pani spisać dla celów badawczych naszego Archiwum relację z Pani losów okupacyjnych na podstawie załączonego schematu relacji.

Z wyrazami szacunku

*K. Minczykowska*

Katarzyna Minczykowska

Dokumentalistka Archiwum WSK

przy Fundacji „Archiwum Pomorskie AK”



T: 1488/WSK

AK  
W-WE

BOGALSKA Amelie

DR

12/

Wypisy ze śródel

T 1438

Del. Rz

AK  
W-WE

Rosnowska Amelia  
prac. komórki Tętności radiowej

JN-K

W. Grabowski - Delegrat Rządu  
Wwa 1995 PAX s. 49

Joko nr 77

VI Fotografie - 2 szt., oryg., 12 szt., - kopie



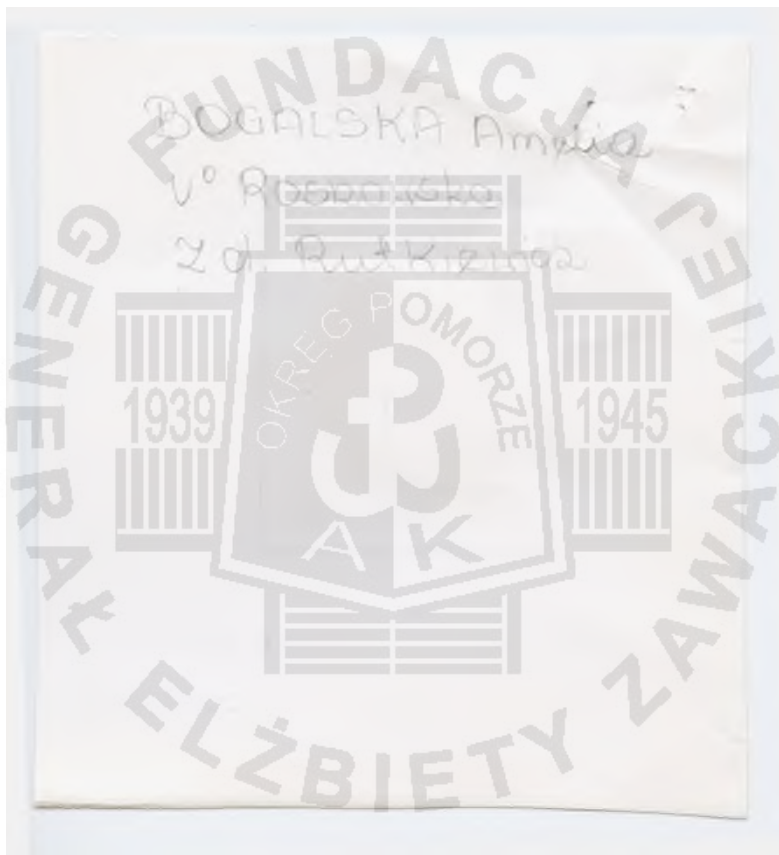










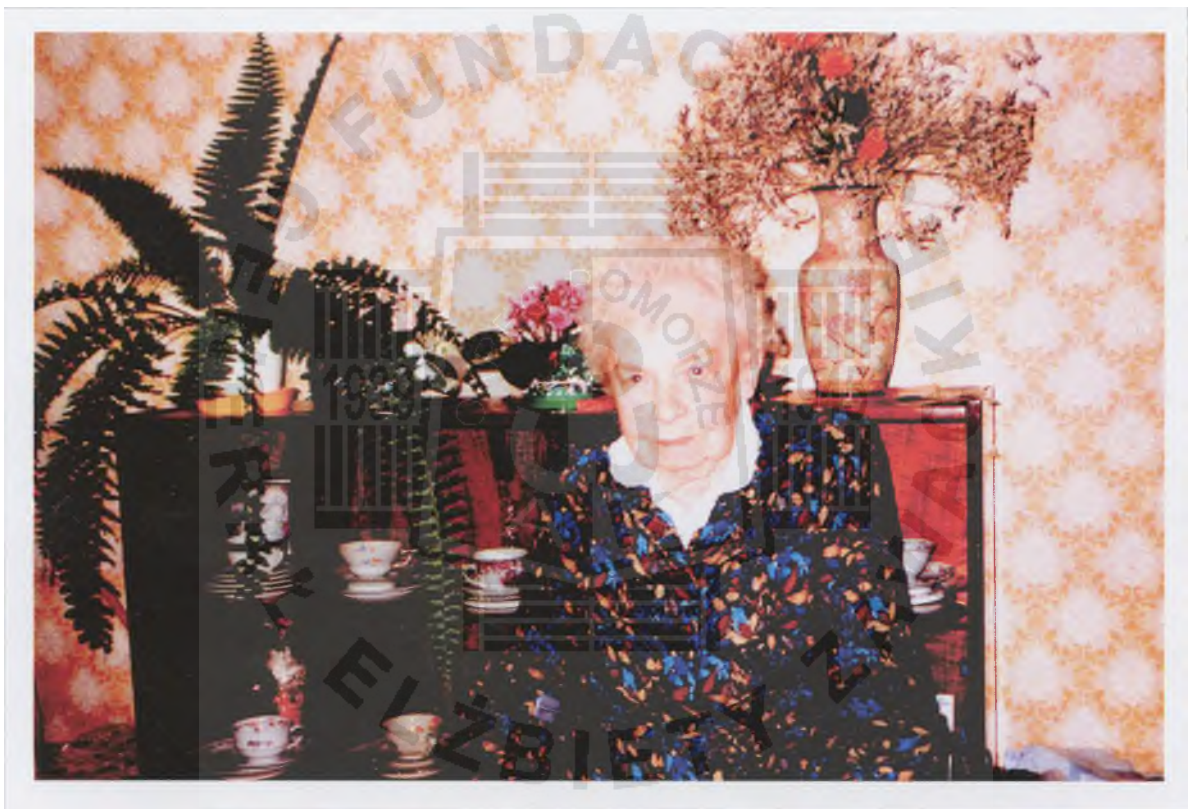










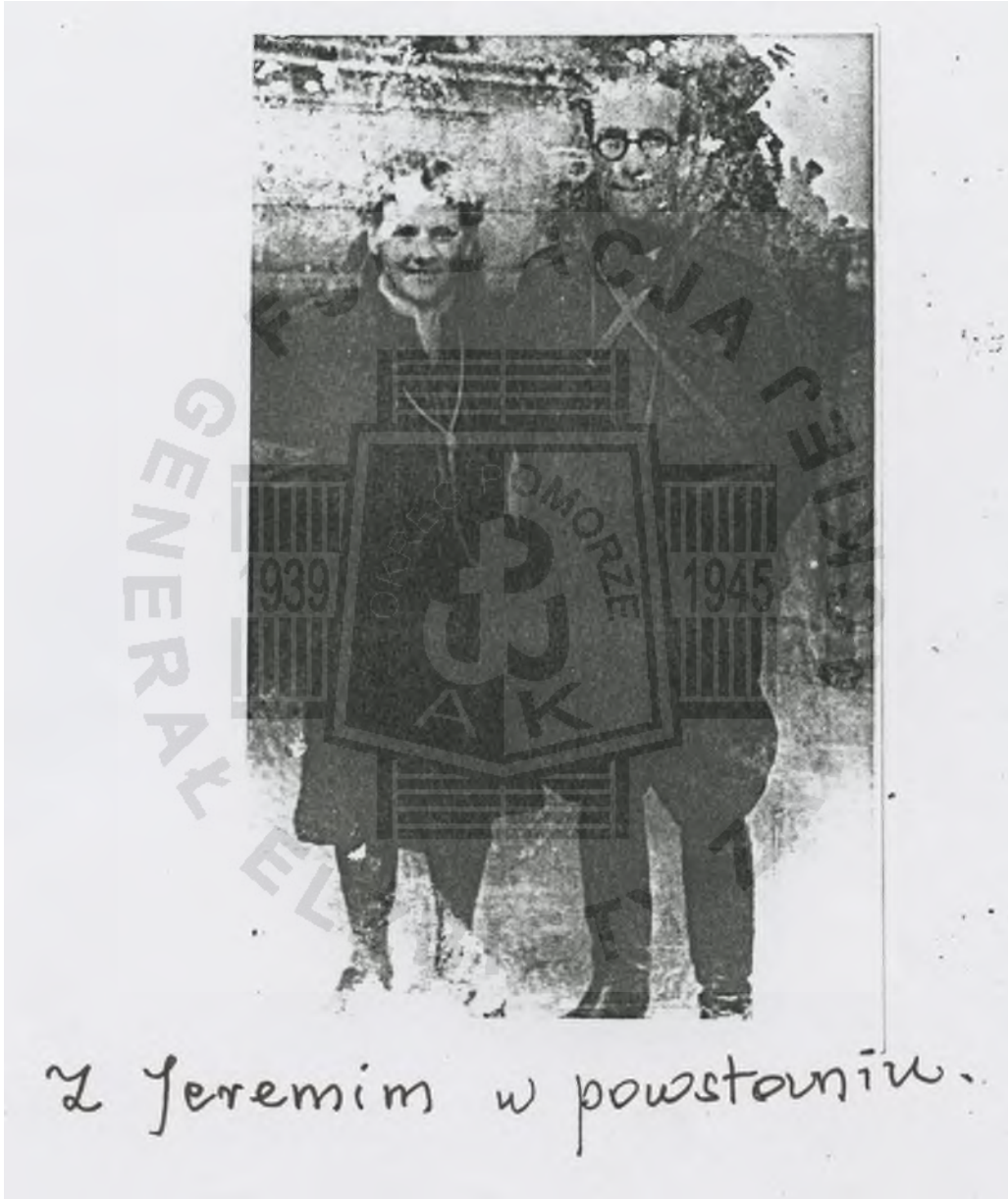




Nasza Rodzina  
1926 r

Rodzice i najstarsza córka Jadwiga  
siedzą Obok Władysława, Elżbieta (na kole)  
Srebr-słoi. Od lewej Amelia Henryk,  
Bernard i Rozalia







Na placówce powstaniowej







Dowódca naszego baonu "Pionier"  
przybył z Londynu na 50 rocznicę  
Powstania Warszawskiego (obok ja)



Dekoracja Krzyżem HK 1939-1945





z Anio<sub>3</sub> i Pawłem 14 XI 1995r

*Moi bracia*



BERNARD

*reżyst w ZSSR*

1939

*ZSSR*

MORZE

1945

AK



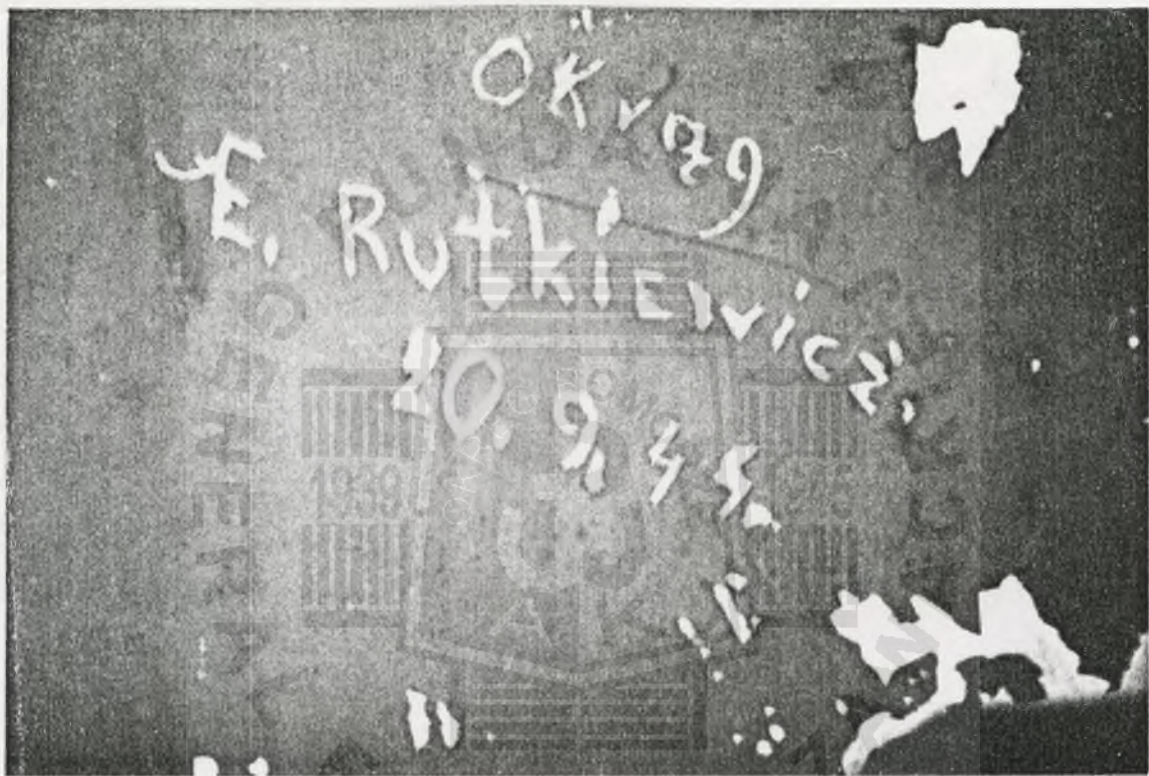
WŁADYSŁAW

*reżyst w Oświecieniu*





Tak wracali z Niemiec do Italii  
Ela Rutkiewicz  
i Gino Lanzetti



Okapis na ścianie w "tramwaju"  
na ul. Szuchoa



Waldemar Grabowski

# Delegatura Rządu RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ na Kraj



1940-1945





62. Tadeusz Miklaszewski  
„Małynicz”, „Nilski”,  
„Stencel”



63. Wanda Modlibowska  
„Halszka”, „Maria”



64. Jan Jacek Nikisch  
„Sielecki”

65. Feliks Oberda



66. Jadwiga Oberda



67. Hanna Pachnowska-  
-Wałkowska „Ewa”



68. Stefan Pawłowski  
„Grabowiecki”, „Romecki”



69. Stefan Pieńkowski



70. Franciszek Pilarek „Żółw”







71. Maria Ponikowska



72. Stanisław Poraj-Koźmiński

73. Eugeniusz Poślada  
„Rodecki”, „Skoczek”74. Edward Quirini „inż.  
Stanisław Kulesza”75. Ludwik Rabcewicz-  
Zubkowski „Korab”76. Aleksander Rogalski  
„Kujawski”, „Remigiusz”

77. Amelia Rosnowska



78. Michalina Ross

79. Witold Rościszewski  
„Karliński”, „Umiński”





80. Edmund Rudnicki „Konopka”



81. Władysław Rutkiewicz „Władziu”



82. Jadwiga Rużyłło-Pawłowska „Krystyna”

83. Edward Serwański „Mietek”



84. Konrad Sieniewicz „Sokołowski”, „Wierzejski”



85. Kyrył Sosnowski „Konrad”, „Bronisław Palecki”



86. Józef Stemler



87. Olgierd Straszynski



88. Waclaw Szubert „Wagner”, „Wirski”





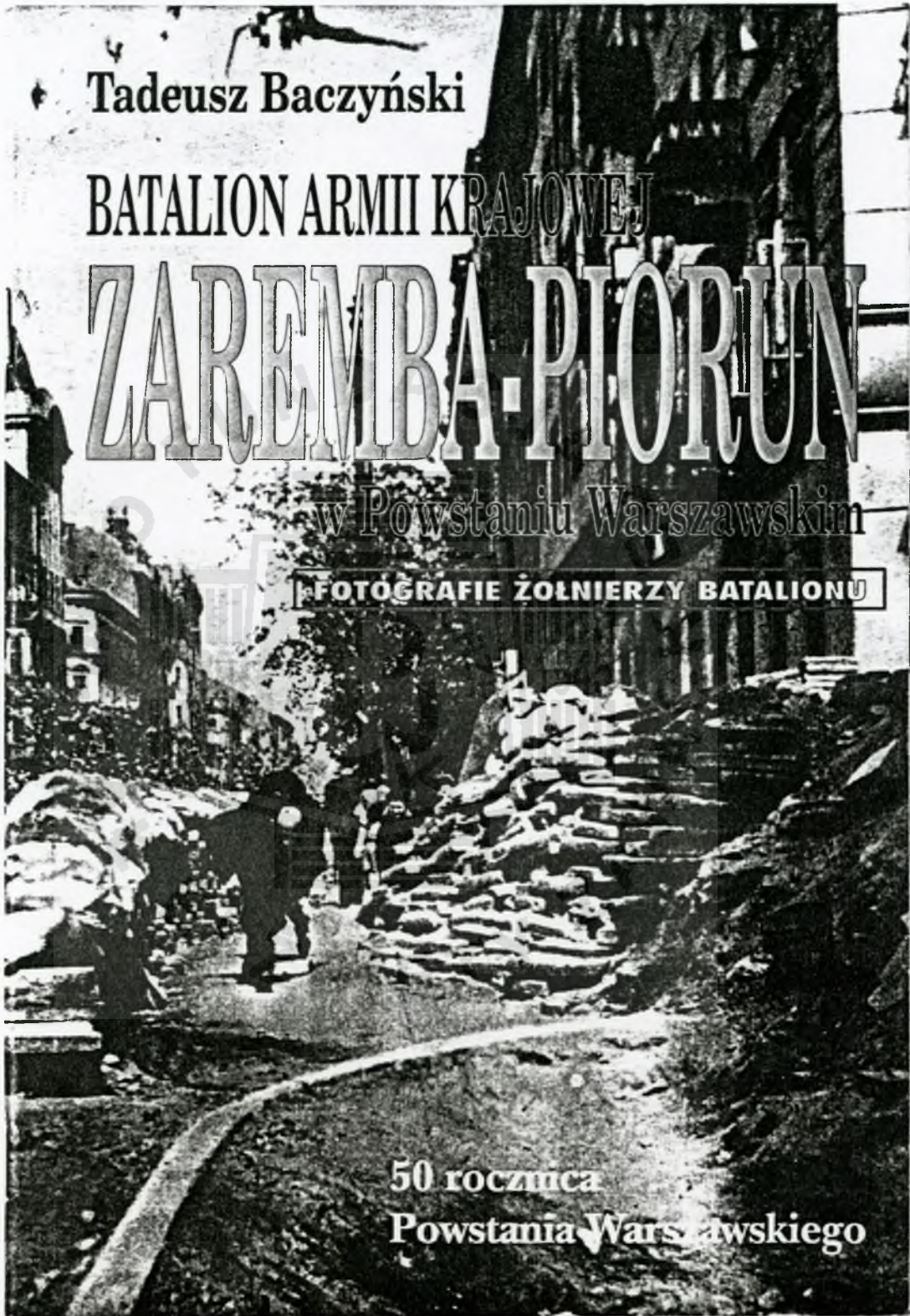
Tadeusz Baczyński

BATALION ARMII KRAJOWEJ

# ZAREMBA-PIORUN

w Powstaniu Warszawskim

FOTOGRAFIE ŻÓLNICZY BATALIONU



50 rocznica  
Powstania Warszawskiego





Rebaliski Aleksander  
„Mesar”



Rubik Stefan  
„Wiktor”



Rybaczewski Ludwik  
„Kuba”



Rencki Jerzy  
„Sawa”



Rosnowska Amelia  
„Ama”



Ruskiewicz Jan  
„Jar”



Raczyński Bronisław  
„Szubiela”



Radwański Mieczysław  
„Tygrys”



Rakowski Jerzy  
„Gerard”



Pstragowska-Spysz-Piechocka  
Krystyna „Janina”



Radwan Antoni  
„Kobra”



Radziwińska Zofia  
„Zocha”



BOGAŁSKA Amelii

